№ 23. Warszawa, dnia 5 Czerwca (24 Maja) 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. *Polityka*: Przyszły kanclerz. — Jeszcze o rozruchach galicyjskich p. I. Franko. — Tydzień polityczny. — *Powieść*: Nastrój balowy przez Aleksandra L. Kiellanda. Tłom. Ignacy M. — *Sprawy ekonomiczne*: Przełom belgijski II. p. E. P. — *Literatura i sztuka*: Literatura polska: Asnyk. Bracia Lerche p. W. P. — Choroby w literaturze p. Z. — Z Francyi p. P. — *Fejleton*: Liberum veto p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu p. Nieborskiego. — Wspomnienia pośmiertne: Leopold Ranke, Jerzy Waitz, Jan Dobrzański. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

PRZYSZŁY KANCLERZ.

Wogóle kanclerzowi niemieckiemu przyznać trzeba, że o siebie i wszystko, co jego jest, wytrwale dba. I sutą dotacyę po wojnie francusko-pruskiej przyjął, i ze składki narodowej kazał sobie dobra kupić, i o wszystkie zniżki lub podwyżki podatków, które go dotyczą, zawsze się upomina. Pamiętamy, jak nastawał w sejmie na zwiększenie zapomogi, przeznaczonej dla odnowy jego pałacu, jaką wreszcie stoczył kampanię z pogwałceniem i praw i zwyczajów, wprowadzając na katedrę uniwersytecką swego przybocznego lekarza, człowieka „z moralnym defektem," prościej mówiąc — karanego kryminalnie. Naiwni niemcy aż dotąd zadawali sobie pytanie: kogo też kanclerz wybrał sobie za zastępcę w urzędzie? Pytanie to przestało być zagadkowem od chwili, gdy hr. Herbert Bismark został mianowany sekretarzem stanu w ministeryum spraw zagranicznych.

Nawet książęta z domu panującego nie przebiegają za granicą tak szybko drabiny dostojeństw. Wyniesiony tak wysoko syn Bismarka liczy zaledwie 36 lat. Od r. 1874, w którym wstąpił do służby dyplomatycznej, przeszedł wszystkie stopnie, poprzedzające obecną godność, która jest, przynajmniej pod względem uposażenia, drugą w hierarchii urzędniczej (kanclerz pobiera 54,000 marek, sekretarz stanu w ministeryum spraw zewnętrznych 50,000, inni ministrowie po 36,000). Syn więc ma już nad sobą tylko ojca, a gdy ten ustąpi— (oprócz cesarza) nikogo.

Chociaż obecny następca tronu okrył się tajemniczością i nie zdradza, jakim będzie cesarzem, nie ulega wątpliwości, że sprawy państwa złoży on w ręce doświadczone i pewne. Niemcy są mocarstwem potężnem, ale utrzymanie ich na tem stanowisku i przy dotychczasowym uroku jest zadaniem bardzo trudnem; wybór przeto sternika musi być rozważony dobrze. Według prawie powszechnego głosu Herbert Bismark nie należy do orłów i zdolnościami rodzica nie przypomina. Ale ma to być wielka siła robocza, wykształcona w doskonałej szkole. „Do służby dyplomatycznej — powiada jedna z gazet niemieckich — trzeba być wychowanym, wzrosnąć w jej tradycyach. Rutyna jest tu niezbędniejszą, niż gdziekolwiek indziej. Do tej zaś rutyny należy rozległa i bliska znajomość ludzi tego towarzystwa europejskiego, które dostarcza ambasadorów i ministrów polityki zagranicznej. Bez genialności może dyplomacya obyć się, bez rutyny — nigdy." Hr. Herbert Bismark, jako poseł lub delegat przy różnych dworach, miał sposobność poznać i przyciągnąć ludzi, a jako uczeń dobrego mistrza — zdobył rutynę. Od wczesnej młodości pozostając ciągle przy ojcu, wykształcił się w sztuce dyplomatycznej. Ojciec ten chce być i jest ciągle sfinksem, nie odkrywa swych planów przed nikim a od pomocników swoich żąda bezwzględnej uległości. Gdy innych ministrów nazywa „kolegami, którzy mu często przeciwstawiają się a zawsze działają nieskrępowani— budzi złośliwe uśmiechy; gdy pokazuje parlamentowi jakieś akty polityczne, wydobywa z ukrycia te, które mu do danej chwili do celu służą; gdy zostanie zagadnięty o jakąś sprawę dyplomatyczną, odpowiada, że nie ma obowiązku tłomaczenia się lub odsyła ciekawych do... archiwum; gdy powierza podwładnym jakąś robotę lub konsulom misyę, nie wtajemnicza ich w swoje zamiary. Rzecz naturalna, że przy tym systemie, przy samowładztwie i szczelnem osłanianiu wszelkich działań potrzebuje on na najważniejszem miejscu mieć człowieka, któremu by ufał i któryby spełniał jego wolę a zachowywał dyskrecyę nietylko z urzędu. Ukochany syn był najodpowiedniejszym i dla dogodzenia miłości ojcowskiej najbardziej pożądanym. Tym względom zawdzięcza on tak wysokie stanowisko w tak młodym wieku.

Czy ten przyszły kanclerz dźwignie należycie swój wielki ciężar? Zależy to od innego pytania, czy przytoczony wyżej pogląd jest słusznym, mianowicie, czy dyplomacie wystarcza sama „rutyna" bez osobnych zdolności? Bądź co bądź, jeśli prawdopodobieństwa nie omylą, Europa już dziś wie, kto po ks. Bismarku miejsce zajmie. Zajmie je duża praca, sumienność, rutyna, znakomita szkoła. W Niemczech przymioty te są daleko częstsze, niż geniusz. Niedarmo największy poeta tego narodu określił geniusz jako cierpliwość. Nigdzie określenie to nie ma większej racyi. Niemcy wzrosły, spotężniały, dokonały wielkich dzieł— cierpliwością. Natura nie obdarzyła ich wyjątkowemi siłami, ale obdarzyła ich wyjątkową pracowitością i wytrwałością. Jest to w Europie olbrzymie mrowisko, które ze zdziebeł buduje gmachy, ktore wszędzie się rozpościera i które tysiąc razy zburzone, tysiąc razy się skupi i groźnem pozostanie. Po Sadowie i Sedanie sławiono Bismarka i Moltkego, ale sławiono — i słusznie — również kwatermistrzów, liwerantów, nauczycieli wiejskich—słowem wszystkie kółka olbrzymiego zegaru państwowego i społecznego, które w nim działają nigdy niezmordowane, a zawsze dokładne. Nie ma dziś

w świecie narodu, który byłby mniej sympatycznym, a jednocześnie bardziej pouczającym, niż niemcy. Zwłaszcza dla ludów drobnych, prowadzących ciężką walkę o byt, mozolnie wyrabiających swą przyszłość, jest to nieoceniony wzór. Z tego bowiem przykładu mogą się one nauczyć, że społeczeństwo nie powinno być tem tylko, co mu geniusze, bardzo rzadko pojawiający się, dadzą, ale głównie tem, co ono nieustanną zbiorową pracą wytworzy.

Jeżeli więc na czele państwa stanie człowiek, będący wcieleniem tej mocy, którą Goethe nazwał geniuszem, człowiek taki nawet bez orlego wzroku i lwiej siły może nawą państwową sterować umiejętnie. Przedwczesne są też, zdaniem naszem, żarty z przyszłego kanclerza Niemiec, który przywdzieje za obszerną dla niego szatę ojca. Szatę ową krawcy parlamentarni obetną mu, dopasują do mniejszych rozmiarów — i będzie on ją nosił dobrze. W sprawach praktycznych — a do takich należy polityka — nigdy nie wiadomo, gdzie skuteczniej działa geniusz, a gdzie doświadczona i wytrwała praca.

JESZCZE O ROZRUCHACH GALICYJSKICH*).

Lwów, w maju.

Do artykułu wielce szanownego p. Jeża „O rozruchach w Galicyi,“ pomieszczonego w 21 n-rze *Prawdy*, pozwólcie, że dodam jeszcze słów kilka. Sprawa to, zdaniem mojem, niezmiernie ważna, a przez gazety galicyjskie wcale niedostatecznie i niewszechstronnie rozjaśniona. Z właściwą sobie bystrością Jeż zaznaczył pewne momenty, które złożyły się na nadanie tej sprawie takich rozmiarów i takiego rozgłosu w Europie, na jaki ostatecznie nie zasługiwała. Zgadzam się zupełnie na to, że nie były to rozruchy, lecz niepokoje, chociaż nazwa nie odejmuje doniosłości faktom, ale w rozbiorze samej przyczyny objawów znajdują się niektóre niedokładności w wywodzie Jeża, które radbym sprostować w tym jedynie celu, żeby na samą sprawę, dotykającą podstaw narodowego bytu plemienia polskiego, nie padała ani odrobina fałszywego światła.

Na dwa czynniki zwrócimy szczególną uwagę: na rząd austryacki i na szlachtę galicyjską. O rządach austryackich w Galicyi, o konstytucyi i autonomii naszej zdania Jeża niezupełnie są sprawiedliwe. Mówi on np., że „konstytucya austryacka znosi różnicę stanów,“ tymczasem przeciwnie, ta konstytucya jest na wskróś mieszczańską, kapitalistyczną, a więc upośledza wszystkie stany na korzyść kapitalizmu, a biorąc rzecz względnie do Galicyi, na korzyść kapitalizmu niemieckiego. Niesłusznem też jest twierdzenie, że galicyjska czy konstytucya czy autonomia „jest gmachem na piasku łaski monarszej zbudowanym.“ Konstytucya i autonomia nadane zostały jednakowo i pod naciskiem jednakowych stosunków dla wszystkich krajów monarchii, a twierdzenie Jeża, że „rząd w Galicyi ma prawo w każdej chwili konstytucyę odjąć“ jest zupełnie mylne. Ani rząd, ani cesarz takiego prawa specyalnie dla Galicyi nie posiada i odjąć przyznanych swobód bez zamachu stanu nie może.

Również mylnem jest dalsze twierdzenie Jeża, że „Austrya ustanowiła prawo wyborcze, dzięki któremu do sejmu krajowego wprowadzić może, kogo jej się podoba.“ Austryackie prawo wyborcze jest nieodrodnem dzieckiem austryackiej konstytucyi i jeżeli kogo krzywdzi, to tylko chłopów i robotników na rzecz kapitalistów i szlachty. Ciekawa rzecz, kogo też za pomocą tego prawa wyborczego może Austrya wprowadzić do sejmu galicyjskiego? Otóż jeżeliby użyła wszelkich możliwych prawnych sposobów, żeby chłopi nie głosowali za szlachtą, to mogłaby wprowadzić 48 chłopskich na 60 szlacheckich i kapitalistycznych kandydatów. W oczach szlachty galicyjskiej taki skład sejmu byłby „klęską narodową,“ lecz czy byłby nią też i w oczach Jeża? A kogóż więcej, prócz tych dwóch kategoryj, może Austrya czy to legalnymi, czy nielegalnymi środkami wprowadzić do galicyjskiego sejmu krajowego?

Niezupełnie słusznem jest i ostatnie mniemanie, że „Austrya udarowała Galicyę jezuitami.“ Jeżeliby kto w tej sprawie chciał ją koniecznie obwiniać, to chyba o tyle, że Austrya nie zabrania żadnemu krajowi mieć u siebie jezuitów. Lecz kto ich do Galicyi zapraszał, kto przyczyniał się do ich wzrostu w potęgę, do oddawania w ich ręce monasterów rusińskich, kto posyła do ich konwiktów swoje dzieci, kto dziesiątkami tysięcy szerzy między ludem ich wydawnictwa, jeżeli nie szlachta polska?

Z tych uwag wypływa omylność twierdzenia Jeża, iż „najpierwszem i najważniejszem zadaniem kierowników samorządu galicyjskiego jest skarbienie łaski monarszej, której postradanie wystawiłoby Galicyę na gorsze w pasy i popręgi ujęcie, aniżeli to, jakiemu podlega W. ks. Poznańskie.“ A przecież sam Jeż wspomina, że „w zaraniu ery konstytucyjnej“ szlachta galicyjska stała w opozycyi do rządu. I cóż? Czy ujęto ją w pasy i popręgi? Nie! Rząd wówczas miał w ręku jeden tylko środek— popierał rusinów. I pod groźą tej okropnej możliwości, żeby rusini broń boże nie zdobyli jakichkolwiek łask w Wiedniu, polacy „z orężem i pakunkiem z opozycyjnego przeszli do rządowego obozu.“ A więc nie pod grozą pasów i popręgów!

Kategoryczne twierdzenia Jeża w tym względzie zmieniłbym w ten sposób: swobody przyznane Galicyi przez Austryę są rzeczywiste, konstytucyjne. lecz Galicya nie korzysta z nich *jedynie dlatego, że szlachta nie chce!*

Okropna zmiana! Sam to widzę i postaram się przytoczyć fakty na jej usprawiedliwienie. A jeżeli przy tem nie pójdę za przykładem Jeża i nie będę wyszukiwał prawdziwych i nieprawdziwych „łagodzących okoliczności,“ uczynię to dla tego tylko, że łagodzące okoliczności mają wartość

*) Pragnąc przyczynić się do wyjaśnienia tak ważnej i tak często zaciemnianej sprawy, mniemamy, że służymy dobrze zarówno jej, jak i naszym czytelnikom, podając głos, który z nowej strony rozsnuwa poważnie to nieszczęsne i zmotane pasmo. *Red.*

POWIEŚĆ.

NASTRÓJ BALOWY

przez

Aleksandra L. Kiellanda.

Weszła na gładkie marmurowe schody bez żadnego wysiłku, bez wahania, ciągniona jedynie siłą swej urody i dobrych skłonności.

Zajęła miejsce w salonach dostatku i bogactwa, nie zapłaciwszy za wstęp ani cnotą, ani dobrem imieniem — a jednak nikt nie umiał powiedzieć, skąd się wzięła; przypuszczano tylko, że z nizin wspięła się tak wysoko.

Jako podrzutek na jednem z przedmieść Paryża przegłodziła lata dziecinne wśród występku i biedy, o których ci tylko mogą mieć pojęcie, którzy to życie znają z doświadczenia.

My, czerpiąc wiadomości z książeki opowiadań, musimy używać do pomocy całej naszej fantazyi, by stworzyć sobie przybliżone wyobrażenie dziedzicznej nędzy wielkiego miasta, a i wtedy zapewne najjaskrawsze nasze obrazy blade są wobec smutnej rzeczywistości.

Było właściwie już tylko kwestyą czasu, kiedy ją pochwyci występek, jak koło zębate chwyta tych, którzy się zanadto do maszyny zbliżą, by ją potem, po krótkiem życiu, spędzonem w wirze sromoty i poniżenia, odrzucić z bezlitosną dokładnością maszyny w ciemny kąt, gdzieby mogła, zapomniana i nieznana, zakończyć tę karykaturę ludzkiej doli.

Wtedy, będąc 14-letnią już dziewczyną, została, jak się to czasami zdarza, „odkrytą“ przez bogatego i wysoko postawionego człowieka, gdy pewnego dnia biegła jedną z głównych ulic miasta do ciemnego pokoju w oddalonym zaułku, gdzie pracowała u kobiety, której specyalnością były balowe kwiaty.

Bogacza nie pociągnęła jedynie wyjątkowa jej piękność; ruchy, cała istota i wyraz tych napół już rozwiniętych rysów— wszystko zdawało się wskazywać, że w dziewczynie odbywa się walka pomiędzy wrodzonym dobrym charakterem i bezczelnością. A że człowiek ów posiadał wszystkie nieuzasadnione i niezliczone zachcianki zbytniego bogactwa, postanowił sposobem próby biedne dziecko wyratować.

Nie było trudnem ją posiąść, gdyż nie należała do nikogo. Otrzymała nazwisko i została oddaną do jednej z najlepszych szkół klasztornych; opiekun jej zaś z przyjemnością mógł widzieć, jak wszystkie jej złe instynkty ginęły i zanikały. Rozwinął się w niej bardzo przyjemny, trochę nieczuły charakter, cichę, łagodne usposobienie i rzadka piękność.

Gdy urosła, ożenił się z nią. Żyli z sobą przykładnie. Mimo wielkiej różnicy wieku miał zawsze do niej nieograniczoną ufność, ona zaś zasługiwała na nią w zupełności.

Małżonkowie nie żyją we Francyi tak wspólnem życiem, jak u nas, dlatego też wymagania ich są daleko mniejsze, a rozczarowania mniej smutne.

Nie nazywała się szczęśliwą, lecz była zadowoloną. Charakter jej był jakby stworzony do wdzięczności. Nie nudziło ją bogactwo, przeciwnie cieszyła się niem w dziecinny nieledwie sposób. Nikt jednak tego nie widział, gdyż w całej jej istocie tkwiła zawsze wielka pewność siebie i godność. Domyślano się, że jej pochodzenie nie było bardzo prawe, lecz ponieważ nikt na to nie odpowiadał, zaprzestano pytań; w Paryżu trzeba o tylu rzeczach myśleć...

Zapomniała już o swojej przeszłości. Zapomniała tak, jak my zapominamy o różach, jedwabnych wstążkach i zażółkłych listkach z lat młodych, ponieważ nigdy o nich nie myślimy. Leżą one zamknięte w szufladzie, której nigdy nie otwieramy. A jednak, rzuciwszy kiedykolwiek okiem na tę zapomnianą szufladę, wnet byśmy zauważyli, gdyby choć jednej z tych róż, lub najmniejszej wstążeczki zabrakło. Wtedy bowiem przypominamy sobie wszystko najdokładniej, wspomnienia leżą tam za-

jedynie w czasie wymiaru kary, a nie tam, gdzie chodzi o spowodowanie poprawy i gdzie to można osiągnąć szczerem, otwartem i niczem niezłagodzonem przedstawieniem całego ciężaru winy.

Czem jest, czem była szlachta galicyjska? Jakie są jej dzieje, jakie zasługi? Jeż mówi, że jeszcze przed 26-ciu laty przeszła w ciągu lat 88 ciężką i trudną, a bolesną szkołę doświadczeń życiowych. Ciekawa to, a za mało znana szkoła, warto przypomnieć jej główne momenty.

Przy końcu XVIII wieku szlachta hula na grobie ojczyzny; „towarzystwo lwowskie“ świetnością swoją budzi podziw niemców (zob. Łoziński: *Towarzystwo lwowskie przy końcu XVIII w.*), a tymczasem ta sama szlachta w inwentarzach, robionych w 1783 r., nakłada na chłopów jeszcze większe ciężary pańszczyzniane, niż były za Rzeczypospolitej, wszelkiemi sposobami opiera się reformom Józefa II na korzyść włościan i w przeciągu kilkunastu lat wypłaca z wyroków rządowych około pół miliona florenów kar za ucisk poddanych.

W r. 1816—1820 szlachta galicyjska hula (patrz *Alkhadar* Chojeckiego), wyrzuca krocie na jedno przyjęcie cesarza we Lwowie 1817 r., łasi się do gubernatora Haura, a w tymże samym czasie rząd na naleganie szlachty i arcybiskupa Ankwicza zabrania używać rusińskiego języka we wszystkich szkółkach ludowych wschodniej Galicyi i przeprowadza nowe inwentarze gruntowe, w których szlachta przyswoiła sobie gminne (chłopskie) lasy i pastwiska i masę chłopskich gruntów, t. zw. pustek; ogromna ilość sporów gruntowych i drobnych buntów chłopskich, przez rząd uśmierzanych, była wynikiem tych reform.

Od r. 1841 — twierdzą zwykle jej apologeci — szlachta na sejmach postulatowych rokrocznie domagała się u rządu zniesienia pańszczyzny, z zaparciem się własnych interesów. Na nieszczęście, znam tę historyę dość dokładnie i mogę powiedzieć, że rzecz ta wcale tak poetyczną nie była. Z jednej strony widziała szlachta, że pańszczyzniana robota wobec zmienionego kształtu produkcyi rolnej zaczyna się nieopłacać, a wobec coraz większego naprężenia stosunków społecznych zaczyna być coraz bardziej niebezpieczną; lecz z drugiej strony w żadnym z niefortunnych reformatorów szlacheckich owych czasów; ani w hr. Krasickim, ani w Kraińskim, ani w Wasilewskim nawet przebłyskiem nie zagościła myśl, żeby chłopom pańszczyznę darować. Wieczne oczynszowanie ziemi największą względnie spotykało sympatyę; hr. Krasicki i tego nie żądał, lecz jedynie nadania gruntom chłopskim możności — służenia za hipotekę dla długów bankowych, żądał tego, co też szlachta galicyjska w r. 1867 jeszcze z dodatkiem uczyniła, znosząc ograniczenie stopy procentowej przy pożyczkach hypotecznych, żądał wolności lichwy i wywłaszczenia chłopów. Prawda, domagał się on prócz tego zakładania szkółek ludowych, mimo, że w tym samym czasie inni szlachcice urządzali formalne obławy na wiejskich dyaków, którzy uczyli chłopskie dzieci czytać, i oddawali ich do wojska. Wogóle t. z. rozprawy abolicyjne w sejmie postulatowym lwowskim 1841—45 wcale niezaszczytne świadectwo dają szlachcie galicyjskiej, przeciwnie, w całej nagości pokazują jej politykę ciasnowidzącego samolubstwa, przewlekania i zamazywania najważniejszej sprawy narodowej dla drobnych swoich *klasowych* interesów.

Rok 1848 był nową próbą i jeszcze raz, pomimo okropnej lekcyi 1846 roku, pokazał, że szlachta nie dba o przyszłość narodu, nie dba o jego podstawę, o lud, lecz dba jedynie o siebie, być może w tem przekonaniu, że naród, to ona sama. Rok 1846 nawet rządowi austryackiemu pokazał niemożność utrzymania nadal pańszczyzny — tylko szlachta galicyjska widzieć tej niemożności nie chciała. Do ostatniej chwili, do marca, do kwietnia 1848 r. obstawała przy tem, że pańszczyzny darować a nawet znosić nie trzeba. Nagle, jak grom z jasnego nieba, spada postanowienie cesarskie, *darowujące* chłopom pańszczyznę w imieniu rządu. Szlachta oburzona o mało nie podnosi buntu, krzyczy, że rząd nie ma prawa darować tego, co nie jest jego własnością, a chłopów, którzy ośmielają się głośno mówić o swobodzie, każe okładać kijami. Lecz oto z łona „demokratycznej“ Rady narodowej rozlega się okrzyk, żeby szlachta ubiegła rząd i sama od siebie darowała pańszczyznę, zrzekając się wszelkiego za nią wynagrodzenia. Jedyna zdrowa i polityczna myśl, jaką można było powziąć w owym czasie. Niektórzy panowie ją spełniają, większa część opiera się i czeka na rząd, później zaś wszyscy, nawet i ci, co uroczyście zrzekli się byli pańszczyzny i wszelkiego za nią odszkodowania, zgłaszają się do rządu po nieszczęsną indemnizacyę, która na całe półstólecie miała podciąć ekonomiczny rozwój naszego kraju!

Nie zaprzeczę, że w sprawie indemnizacyi (opłaty za zniesioną pańszczyznę) rząd austryacki odegrał rolę haniebną, lecz nie trzeba zapominać, że i rola szlachty była tu nie o wiele piękniejszą. Przedewszystkiem szlachta wszelkimi sposobami starała się uszczuplać rozmiar cesarskiej darowizny, wyłączywszy taki np. przywilej, jak prawo propinacyjne, t. j. prawo wyłącznego produkowania i szynkowania gorących napojów. Historya galicyjskiej propinacyi i jej „wykupu“ na zawsze zostanie sromotą dla szlachty galicyjskiej, głośnem zaprzeczeniem wszelkich wygłaszanych przez nią frazesów o miłości dla ludu, o uobywateleniu i umoralnieniu chłopka!

W jednym rzędzie z propinacyą można postawić sprawę nieszczęsnego wykupu służebności, przy którym szlachta za cenę kilku morgów lasu i pastwisk na długie dziesiątki lat w sercach ludu zasiała ku sobie nieprzyjaźń i nienawiść. Ciekawa to, lecz dotychczas w całej swej pełni nie wyświecona sprawa, która wywołała w ciągu lat trzydziestu setki drobnych buntów chłopskich, pociągnęła za sobą setki wojskowych egzekucyj, przyprowadziła do ruiny i zubożenia setki wiosek. A sprawa to do dziś żyjąca i piekąca tak, że szlachta, zdaniem mojem, sama siebie łudzi, myśląc, że ją ostatecznie załatwiła. Nie wiem, na jakiej podstawie Jeż twierdzi, że „w zaraniu konstytucyjnej ery okazywano zachcenia, mające na celu poprawę stosunków społecznych.“ Studyowałem pilnie sprawozdania sejmu galic. z lat 1861—1873 i mogę powiedzieć to tylko, że zaraz na pierwszych jego posiedzeniach w całej swej głębokości zarysowała się przepaść między dworem a chatą, i że na domagania się posłów chłopów: rusinów i mazurów, by ile możności wyrównano tę przepaść, szlachta

---

wsze świeże, zawsze jednakowo przyjemne, jednakowo gorzkie.

Tak i ona zapomniała o przeszłości, zamknęła ją do szuflady, której klucze zarzuciła.

W nocy jednak śniła czasem straszliwie. Czuła znowu, jak stara czarownica, u której mieszkała, biła ją w plecy i trzęsła, by wygnać w zimny poranek do kobiety sprzedającej balowe kwiaty.

Wtedy zrywała się na łóżku, w śmiertelnej trwodze, błędnym wzrokiem przenikając ciemności, i dopiero, gdy poczuła jedwabną kołdrę, miękkie poduszki, gdy palce jej przesuwały się po bogatej rzeźbie rozkosznego łoża, podczas gdy małe aniołki snu odciągały od jej oczu ciężką zasłonę widziadeł — oddawała się w zupełności rozkoszy tego błogiego stanu, który odczuwamy, gdy poznajemy, że sen przykry i wstrętny był tylko snem.

Oparta o miękkie poduszki jechała na wielki bal do posła; im bliżej była celu, tem jazda stawała się wolniejszą, aż kareta znalazła się w takim ścisku, wśród którego tylko krok za krokiem posuwać się mogła.

Na wielkim otwartym, placu przed pałacem poselstwa, oświeconym pochodniami i gazowemi latarniami, zebrały się gęste tłumy ludu. Nietylko przechodnie, którzy się zatrzymali, lecz głównie robotnicy, próżniacy, biedne kobiety i podejrzane damy stały w zbitej masie po obu stronach całego rzędu powozów. Złośliwe uwagi i trywialne żarty gradem spadały na delikatnych panów.

Do uszu jej dochodziły wyrazy, których już od wielu lat nie słyszała i zaczerwieniła się na myśl, że, zapewne, ona jedna tylko, pośród całego rzędu siedzących w karetach, zrozumiała grubiańskie wyrażenia paryskiego motłochu.

Zaczęła rozpatrywać twarze otaczających ją ludzi i zdawało się jej, że zna wszystkie; wiedziała, co ci ludzie myślą, co się dzieje we wszystkich tych ciasno zwartych głowach i powoli cały szereg wspomnień opanował ją zupełnie. Broniła się, jak mogła, lecz sama już nie poznała się tego wieczoru.

A więc jeszcze nie zgubiła klucza od tej tajemniczej szuflady! Broniąc się, wyciągnęła go napowrót i wspomnienia opanowały całą jej istotę.

Myślała o tem, jak często sama, będąc na pół jeszcze dzieckiem, połykała żądnemi oczami te piękne panie, które wystrojone jechały na bale lub do teatru; jak często w gorzkiej zazdrości lała łzy na te kwiaty, które mozolnie składała, by inne kobiety niemi ozdobić. Tu widziała ona te same pałające żądzą oczy, tę samą zazdrość niewygasłą, przepełnioną nienawiścią.

I tych brunatnych, poważnych mężczyzn, którzy na pół pogardliwem, na pół groźnem spojrzeniem spoglądali—znała wszystkich.

Czyż będąc jeszcze małą dziewczynką, nie leżała w kącie z szeroko otwartemi oczami, słuchając ich mowy o niesprawiedliwości życia, o wyzysku pracy.

Wiedziała, że ci ludzie nienawidzą wszystkiego, wszystkiego—od tych dobrze utrzymywanych koni i paradnego stangreta aż do tej czystej, błyszczącej karety, a najgłówniej tych, co w niej siedzą i tych niczem nienasyconych upiorów, i te damy, których strój i blichtr więcej kosztuje, niż każdemu z nich uda się w ciągu całego życia pracą zarobić.

Gdy tak rozmyślała, siedząc w rzędzie karet, powoli przesuwających się wśród tłumów, wypłynęły nowe wspomnienia, napół zatarte obrazy szkolnego życia w klasztorze.

Przypomniała się jej opowieść o Faraonie, który chciał ścigać żydów na swym bojowym wozie przez morze Czerwone. Widziała, jak fale, które sobie wystawiała zawsze czerwonemi, na podobieństwo wysokich murów, stoją po obu stronach egipcyan.

W tem rozległ się głos Mojżesza; wyciągnął on swój kij ponad wodami i zlały się fale morza, i pochłonęły Faraona wraz ze wszystkimi wozami jego.

Wiedziała, że te mury, które po obu stronach teraz się wznoszą, są daleko dziksze i drapieżniejsze od fal morza Czerwonego; wiedziała, że potrzeba tylko jednego głosu, potrzeba tylko Mojżesza, żeby wprawić w ruch to morze ludzi, które wnet niszcząc wszystko, wyleje się i pogrzebie cały blask

odpowiadała bądź słodkimi a pustymi frazesami, bądź krzykami oburzenia, bądź drwinami i pogardą, bądź też formalistyczną krętaniną. Od tego czasu aż dotąd jedną tylko wyraźną dążność widzimy śród szlachty galicyjskiej: za żadną cenę nie dopuścić do sejmu chłopów, ani kandydatów chłopskich, nie dopuścić owych *enfants terribles* opozycyjnych, którzyby głośno, po prostu i bez frazesów wypowiadali, co lud boli i czego mu trzeba.

Grzechem byłoby pominąć prace szlachty galicyjskiej około regulacyi kadastru i podatku gruntowego; dwukrotnie już one przechodziły przez jej ręce i w obu razach przyniosły pożądane dla niej owoce: lżejsze opodatkowanie większych posiadłości, a przewalenie większych ciężarów podatkowych na chłopów. (Zobacz o tem świetne artykuły Nawrockiego, umieszczone 1882 r. w *Dile* p. t.: „Podwójna kredka").

Podniosłem tutaj jedynie ważniejsze, ogólno-krajowe sprawy, jednakowo dotykające rusińskiego i mazurskiego chłopa. Mógłbym ten szereg powiększyć jeszcze, podnosząc takie, jak drogową, konkurencyjną regulacyę podatku domowego, egzekucye podatkowe itp. W przeprowadzeniu wszystkich tych spraw jeden zawsze duch wieje: uszczuplenie interesów i praw chłopskich na korzyść interesów i praw szlacheckich. I tu mówią jeszcze o zagranicznych agitatorach, siejących niepokojące wieści, gdzie każdy chłop widzi, że każda ważna dla jego życia sprawa przeszedłszy przez ręce szlachty rządzącej staje się dla niego nie pomocną, ale zabójczą!

Lecz nie dość na tem! Właśnie w tem zapamiętałem przestrzeganiu jedynie swych własnych, klasowych interesów leży klucz owej uległości szlachty względem rządu, owego galicyjsko-austryackiego patryotyzmu, owego poświęcenia interesów kraju (*recte* interesów chłopskich) dla państwa. Nie dla utrzymania autonomii krajowej i konstytucyjnych swobód w Galicyi potrzebną jest szlachcie łaska cesarska i protekcya rządowa, lecz dla zdobywania sobie przywilejów i praw wyjątkowych, dla osobistej karyery, dla której też w każdej chwili szlachta nasza gotowa poświęcać i sama naruszać najważniejsze swobody konstytucyjne.

Oto są te porządki i tendencye, te winy ojców i synów, na które niedawne rozruchy rzucają jaskrawe i złowrogie światło; że protest mazurów był niezupełnie może świadomym całej objętości i całego systematu tych porządków, to postaci rzeczy nie zmienia; im bardziej był on nieświadomym, tem gorzej.

I. Franko.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Z powodu wyjazdu za granicę rosyjskiego ministra spraw zewnętrznych p. Giersa wnioskują dzienniki, że wszelkie ważniejsze sprawy na Wschodzie są już załatwione, lub przynajmniej odłożone na czas pewien. Dodać jednak trzeba, że wyjazd ten jest dopiero projektowanym i że lada niespodzianka naruszyć może w każdej chwili „zgodne porozumienie" mocarstw. Grecya pomimo zmiany gabinetu o rozbrojeniu nie myśli, blokada trwa ciągle, bo p. Trikupis nie chce złożyć oświadczenia, że rząd ateński poddaje się woli mocarstw. Do ostatnich dni maja na granicy tureckiej ciągle odbywały się walki, drobne wprawdzie, ale bądź co bądź dziwnie trochę świadczące o pokojowem usposobieniu obu stron. Rezultat walk tych nie wypadł na korzyść greków, turcy bowiem przyprowadzili do Saloniki około 300 jeńców.

Wybory do zgromadzenia narodowego bułgarskiego zostały już ukończone, opozycya poniosła zupełną klęskę, przeprowadziła bowiem tylko 5 kandydatów w księstwie i 13 w Rumelii na ogólną liczbę 300 posłów. W Jeni-Zagrze podczas wyborów jeden ze stronników Cankowa zabił dowodzącego oddziałem wojska oficera, żołnierze oburzeni rzucili się na tłum i rozpędzili go. W spisku na księcia i Karawełowa przyjmowali udział eks-dygnitarze rumelijscy, dwaj z nich: Geszow, były prezydent zgromadzenia narodowego w Filipopolu i Wieliczkow, dyrektor szkół, zbiegli za granicę. Książę Aleksander zamierza odwiedzić króla rumuńskiego, co tłomaczą jako zamiar pośredniego zbliżenia się do Rosyi.

W Wiedniu niespodziewanie nastąpiło przesilenie gabinetowe. Rząd austryacki, nie pytając o zdanie parlamentu, zawarł z Węgrami ugodę handlową, która w wielu punktach niekorzystną jest dla Cislitawii, zwłaszcza dla Galicyi, szczególniej zaś w sprawie sprowadzania nafty kaukazkiej. Posłowie galicyjscy nie mogą zgodzić się na uchwałę, rujnującą produkcyę krajową. Z nieporozumienia tego skorzystała lewica i jeden z jej członków, dr Suess, postawił wniosek oclenia zagranicznej nafty, czy to surowej, czy rafinowanej i dopiero po dokonaniu oczyszczenia, zwracania odpowiedniego procentu opłaty. Polacy oświadczyli, że będą głosować za wnioskiem Suessa, klub Lichtensteina popiera ich również, rząd zaś grozi, że wobec przyrzeczeń danych Węgrom, zmuszony będzie podać się do dymisyi. Można jednak przewidzieć, że hr. Taaffe wybrnie z kłopotu i galicyanie, zadowoleni jakiem pozornem ustępstwem, odejdą z kwitkiem. Tyle razy już tak było, dlaczegóż teraz ma być inaczej? Chyba że jakaś niespodzianka...

Gladstone poczynił opozycyi pewne ustępstwa, w zamian czego żąda, aby bil przyjęto stanowczo w drugiem czytaniu; wtedy zaś rząd dotychczasowy projekt cofnie, parlament odroczy i na jesiennej sesyi przedstawi zmieniony wniosek, w którym zarówno udział posłów irlandzkich w ogólnym parlamencie, jak i prawo veto Izby gmin stanowczo określone zostaną. Taktyka ta zjednała dla gabinetu kilkudziesięciu opozycyonistów, wątpliwem jest wszakże, czy irlandczycy zgodzą się na takie zmiany. Bil o wykupie ziemi, z powodu braku czasu do rozpraw, wniesiony będzie dopiero w jesieni.

Francuska Izba deputowanych wybrała komisyę, która ma ułożyć projekt uchwały w sprawie pretendentów. Z 11 członków 6 jest za wydaleniem. Prawdopodobnie rządowi przyznanem będzie prawo wygnania książąt w razie potrzeby, ale natychmiastowego wypędzenia komisya nie zaproponuje, właściwie tylko skrajna lewica domaga się tego. Głównie chodzi tu o książąt orleańskich. Książe Napoleon bowiem i syn jego nie są uważani za niebezpiecznych dla rządu Rzeczypospolitej.

---

bogactwa i siły pod swemi krwawo-czerwonemi falami.

Serce jej biło silnie i drżąc schowała się w kąt powozu. Lecz nie ze strachu: pragnęła tylko nie być widzianą przez tych, co stali naokoło niej, gdyż wstydziła się przed nimi. Pierwszy raz, w ciągu życia, własne jej szczęście wydało się jej niesprawiedliwością, sromotą.

Czyż to tu jej miejsce, tu, w tych eleganckich powozach?

Czy nie należy ona raczej do tej tam falującej masy?

Myśli i wrażenia napół już zapomniane podniosły się w niej i ożyły jak dzikie zwierzęta w długim zamknięciu trzymane. Czuła się tu obcą, cudzoziemką w tem błyszczącem życiu, i z pewnego rodzaju demoniczną tęsknotą przypomniała sobie miejsca, z pośród których przyszła.

Schwyciła drogocenny szal koronkowy, opanowała ją jakaś dzika chęć zniszczenia czegoś, chciałaby podrzeć coś w kawałki. W tem zajechał powóz przed bramę pałacu.

Lokaj otworzył drzwiczki karety; ona wysiadła powoli z właściwym sobie łagodnym uśmiechem i arystokratycznym spokojem.

Dobiegł szybko młody, grzeczny poselski *attaché* i był nad wszelki wyraz szczęśliwy, gdy przyjęła jego ramię; jeszcze więcej zachwycony, gdy w jej spojrzeniu, zdawało mu się, że zauważył jakiś niezwykły blask; a już prawie w siódmem niebie, gdy czuł bicie pulsu jej ręki. Pełen dumy i nadziei poprowadził ją z wyszukaną grzecznością przez gładkie marmurowe schody.

*
* *

— Niech mi, szanowna pani, raz powiedzieć raczy, co za dobra wieszczka obdarzyła panią tym dziwnym darem, że we wszystkiem, co się pani dotyczy, jest coś szczególnego, coś osobliwego? Ot, naprzykład, ten kwiat w jej włosach; ma on już jakiś szczególny czar w sobie, i wygląda jak gdyby był zroszony białą rosą poranną. A gdy pani tańczy, to zda się, że posadzka drży falowo, ażeby się zastosować do jej nóżek!

Hrabia był sam zadziwiony tym długim i udatnym komplimentem, gdyż zwykle nie było mu łatwo logicznie się wyrażać. Oczekiwał też, że piękna dama wyrazi mu swoje uznanie.

Lecz został zawiedziony. Ona przechyliła się przez balkon, gdzie po tańcu wdychała łagodne powietrze wieczoru, przyglądała się tłumowi i ciągle nadjeżdżającym powozom. Zdawało się, że ją zupełnie nie zajmuje brawura hrabiego, lecz słyszał ją szepczącą niezrozumiały wyraz: „Faraon."

Chciał się już skarżyć, gdy sama się odwróciła. Zrobiła krok jeden do salonu, zatrzymała się tuż przed nim i spojrzała na niego dwojgiem dużych, dziwnych oczu, jakich nigdy jeszcze u niej nie widział.

— Nie sądzę, żeby jakaś dobrotliwa wróżka stała przy mem urodzeniu, panie hrabio. Lecz w tem co pan o moim kwiatku i o tańcu powiedział, widzę wielkie odkrycie, jakiego dokonała pańska przenikliwość. Wytłomaczę panu zaraz rosę tę poranną, która na kwiatach moich się kropli. Są to łzy, panie hrabio, łzy, które zawiść, zawiedzione nadzieje i boleść nad niemi wylały...

Mówiła ze zwykłym spokojem i po przyjacielskiem pożegnaniu znikła z salonu...

Hrabia stał osłupiały. Rzucił spojrzenie na tłumy. Był to widok, jaki często spotykał; nieraz wiele złośliwych i dobrych dowcipów rzucił o tej wielogłowej masie, lecz dopiero dziś wieczorem zrozumiał, że owa masa była najnieprzyjemniejszem oblężeniem, jakie kiedykolwiek pałacowi zagrażać mogło. Przykre i przytłaczające myśli przesunęły się przez czoło pana hrabiego, gdzie znalazły dla siebie miejsca podostatkiem. Zupełnie był zbity z tonu i przez całą jedną polkę nie mógł wrócić do swego pierwotnego nastroju.

Tłom. *Ignacy M.*

Na pogrzebie pułkownika Herbingera, z którego Ferry zrobić chciał kozła ofiarnego za niepowodzenia w Tonkinie, radykaliści urządzili manifestacyę przeciw b. prezesowi gabinetu, ale rzecz cała skończyła się na krzyku.

Wybory do parlamentu włoskiego wypadły na korzyść rządu, w tem znaczeniu, że p. Depretis będzie miał za sobą większość, opozycya cieszy jednak z cząstkowych zwycięstw w wielu okręgach. Zresztą czekają rząd nowe kłopoty stłumienie zaburzeń rewolucyjnych, które przyduszone chwilowo, wybuchają znowu i pomszczenie członków wyprawy włoskiej, zamordowanych we wschodniej Afryce, co wymagałoby oddzielniej wyprawy, na którą nie ma środków.

W Afryce na wybrzeżu gwinejskiem, około zatoki Benin osadnicy niemieccy dali się tak we znaki murzynom, że ci napadli na kolonię zburzyli ją i 45 schwytanych do niewoli niemców w okrutny sposób zamordowali.

SPRAWY EKONOMICZNE.

PRZEŁOM BELGIJSKI.

II.

Mówiąc o kopalniach węgla, p. Pirmez śpiewa znowu ulubioną swą piosenkę: „jeżeli — jak wykazaliśmy — bogactwo i siły produkcyjne kraju wzrosły, to jaka jest ostateczna przyczyna zmniejszenia dochodów od kapitału? Przyczyną tą jest, oczywiście, powiększony udział pracy w podziale społecznego bogactwa. Jeżeli to powiększone bogactwo nie spływa do kieszeni kapitalistów, musi ono wpadać do sakw robotniczych — są bowiem dwie tylko kategorye biorących udział w podziale bogactw: ci, co dają kapitał i ci, co dają pracę.“

Mamy tu doskonałą próbkę ekonomicznej sofisteryi, którą sam autor nie omieszka następnie inną stroną obrócić. Doktrynerska dyalektyka wydaje się być nieprzezwyciężoną. Jeżeli atoli wejrzymy w rzecz gołem okiem, nie zaś przez tendencyjnie zabarwione okulary, przekonamy się naprzód, że podwyższenie płacy w kopalniach węgla z jednej strony, podobnie jak w rolnictwie, wątpliwe jest i nieznaczne, z drugiej zależy od pewnych przyczyn odrębnych, nie mających nic wspólnego z rzekomem prawem „przemieszczenia bogactw.“ Zyski w kopalniach węgla zmniejszyły się istotnie, skutkiem wszakże przyczyn, związanych z warunkami produkcyi. W r. 1883 na 84 kopalń węgla, istniejących w prowincyi belgijskiej Hainaut, 40 zamykało swe rachunki z deficytem 4,162,750 fr. Czemu przypisać należało ten niedobór? Nie zwiększonej płacy zarobkowej bynajmniej, lecz przedewszystkiem fałszywej rachunkowości, dla uchylenia się bowiem od podatku, towarzystwa kopalń mają zwyczaj przedstawiać interesy swe w świetle gorszem, niż to bywa w rzeczywistości. Podobny wypadek sprawdzono we Francyi z powodu kopalni Anzin, której dochód za r. 1883 minister robót publicznych obliczył na 1,200,000 milionów franków, zarząd zaś towarzystwa utrzymywał, że ma w tym roku deficyt na 25,000 fr. Następnie, ceny belgijskiego węgla, wskutek wojny 1866 r., a bardziej jeszcze podczas wojny 1870—1871 r. niezwykle wzrosły. Spowodowało to wielki napływ kapitałów do tej gałęzi produkcyi. Po przypływie nastąpił, jak zwykle, odpływ, reakcya, co spowodowało obniżenie zysków. Dla wytrzymania konkurencyi zagranicznej kopalnie bejgijskie zmuszone były zniżyć ceny węgla i jednocześnie zwiększyć produkcyjność pracy, to ostatnie udało się głównie przez zaprowadzenie maszyn i ulepszonych sposobów produkcyi. Próbowano także zniżyć jak najbardziej płacę zarobkową, to jednak nie udało się w takim stosunku, jakby sobie tego pp. przedsiębiorcy życzyli. Bertrand przypisuje następującym przyczynom utrzymanie się płacy zarobkowej w kopalniach po nad pewien poziom minimalny: Zmniejszyła się naprzód liczba górników, wskutek zaprowadzenia maszyn i ograniczenia produkcyi, co wpłynęło na podwyższenie płacy pozostałych. Podczas niezwykle pomyślnego okresu 1872—73 przyjęto do kopalń mnóstwo nowych robotników, nawet kobiet i dzieci. Znaczna część ich została potem wydaloną; liczne zmowy, jakie wydarzyły się następnie, były tamą przeciwko nadmiernemu obniżaniu płacy; jeżeli zaś ostatecznie robotnicy otrzymują dziś nieco wyższą, to zarówno produkcyjność ich pracy, jak i dzień roboczy się powiększył.

Tak rzeczy stoją w istocie. Dobroczynne skutki, działających rzekomo mimowolnie, „praw ekonomicznych“ sprowadzają się do pewnej sumy usiłowań, z trudem podejmowanych, lub też są tylko pozornie świetnymi. Wywody swe zresztą osłabił znacznie p. Pirmez uspokajającem dla kapitalistów twierdzeniem, iż nie należy mniemać, że udział kapitału zmniejsza się wogóle w podziale bogactw. Jeżeli względny udział mniej jest dziś zyskowny, to natomiast bezwzględna, ogólna suma zysków od kapitału zwiększa się ustawicznie w sposób nader silny. Jeżeli pojedyncze kapitały dają dziś mniejszy procent, dzieje się to wskutek niezwykłego ich wzrostu. Samo już nagromadzenie, zwiększając podaż kapitału, wpływa na obniżenie procentów; straty te jednak wynagradzają się samem zwiększeniem kapitałów. Zyskują w tem oczywiście ci głównie, co mają wielkie i powiększające się kapitały, zasoby bowiem drobne, niepowiększające się dość szybko, tracą na wartości. Wielki kapitalista zyskuje na ilości, mały traci całkowicie.

Jak wygląda ten raj ekonomiczny belgijski, przekonać się możemy z ustępu pisma katolicko-socyalnego *L'Association catholique* (z r. 1881): „W Belgii wielki przemysł rozwijał się bez przeszkody; konkurencya miała wolne pole przed sobą; żadne prawo jej nie krępowało; inicyatywa prywatna znajdowała tu grunt przyjazny. Używano też kobiet i dzieci w kopalniach węgla, przędzalniach bawełny, wśród pyłu, wywołującego suchoty, przy tkaniu w gorącu 30—40 stopni. Robotnicy pracują tam często od 13—14 godzin dziennie. Zmowy też i zaburzenia zdarzają się często. Namiętności rozprzęgły się po obu stronach i działają ślepo; żadne prawodawstwo społeczne nie ujęło w karby tego bezładu. Następstwem tego stanu jest milion robotników, zapisanych w biurach dobroczynności. Wydziedziczonym tym jałmużnę daje państwo, dają klasztory, same żyjące z jałmużny itd.“ Belgia, jak wiadomo, jest krajem, w którym klerykalizm bujnie się rozwinął, nie każdy jednak zdaje sobie sprawę z tego, że rozwinął on się tam, jako polip pasożytny na rozkładającem się ciele społecznem, zgangrenowanem przez samolubny liberalizm ekonomiczny. Klasy niższe trzymają się kościoła przez ciemnotę, dla jałmużny, dla widziadeł przyszłego szczęścia zagrobowego, mających przed oczami tych, którzy nie mają już żadnej nadziei na szczęście doczesne. Bogaci trzymają się kościoła dlatego, że tak każe moda, arystokratyczna tradycya, którą dziś przyswoić sobie chce plutokracya, dlatego wreszcie, że kościół jest, bądź co bądź, wędzidłem na zrozpaczone tłumy nędzarzy. Sojusz ten klerykalizmu z rozkładającym się liberalizmem możemy odnaleść i we własnych naszych dziejach XVI i XVII stulecia.

Przejdźmy teraz do uwag o przełomie belgijskim znanego ekonomisty-eklektyka, Emila de Laveleye. Autor zaczyna od ostatnich zaburzeń w Charleroi, starając się przytem upewnić wszystkich i uspokoić, że nikt w Belgii nie myślał jeszcze tym razem, iż jest w przededniu rewolucyi. Żadna partya, żaden dziennik poważny, żaden poseł nie żądał zaprowadzenia stanu oblężenia i zawieszenia swobód publicznych. Instytucye nasze — upewnia autor *Współczesnego socyalizmu* — nie są bynajmniej zagrożone, społeczeństwo nie zginie, nawet królewskość wolną jest od napaści. W Belgii nie ma partyi republikańskiej, nasza bowiem monarchia jest rzeczpospolitą. Lud belgijski rządzi się sam i jest równie wolny, jak we Francyi, Szwajcaryi lub Ameryce. Że jest „wolny“ sprzedawać się najwięcej dającemu, nie wątpimy, czy można jednak w kraju cenzusu wyborczego mówić, że lud sam się rządzi? Autor zaznacza, że wprawdzie partya socyalistyczna w Belgii wzrasta, lecz jako grupa zorganizowana, słuchająca swych przywódców i programu, jest ona jeszcze nieliczną i słabą. Zaburzenia, jakie wybuchły — mówi Laveleye — są oznaką poważnego położenia i nie dają zbyt wielkiego zaufania... na przyszłość.

Odsunąwszy tedy groźbę na czasy późniejsze, autor spokojniej pragnie rozebrać przyczyny obecnego kryzysu.

Są one liczne i złożone. Jedne są czysto miejscowe, inne zależą od ogólnego przesilenia ekonomicznego w Belgii i Europie całej; inne wreszcie zawisłe są od rozwoju samej cywilizacyi spółczesnej.

Do miejscowych należy np. zburzenie wzorowej huty szklanej p. Baudoux. W hucie tej zaprowadzono najnowsze maszyny i ulepszenia, które nie obniżyły podobno ilości robotników, produkcya jej jednak wzrosła przez to do ogromnych rozmiarów, co spowodowało zamknięcie hut mniej doskonale urządzonych. Wzrost ten pozbawił zarobku i zysku setki innych robotników i drobnych wytwórców i ci nie zaniedbali wzniecić zarzewia zemsty.

Ogólniejszą przyczyną jest przełom w Belgii i całej Europie. Belgia stała się wielką fabryką tej ostatniej, gdy zaś zaczęło się przesilenie i zaprowadzono cła na granicach — fabryka stanęła. Rosya kupowała niegdyś wiele wyrobów belgijskich: żelaza, stali, maszyn. Dziś ten rynek—mówi Laveleye — jest prawie zupełnie dla nas zamknięty. Wywoziliśmy na sumę ogromną płótna do Włoch; dziś Włochy same je produkują, a nawet robią konkurencyę naszym produktom na Wschodzie. Niemcy i Francya brały z Belgii wyroby metalurgiczne — dziś cła zagrodziły im drogę prawie zupełnie. Toż samo w Stanach Zjednoczonych.

Belgia — mówi dalej autor — jest ofiarą okrutnego kontrastu, jaki w tym peryodzie przejściowym istnieje między stanem ekonomicznym i politycznym krajów cywilizowanych. Wielki przemysł opiera się na międzykrajowym podziale pracy, stosownie do właściwości poszczególnych każdego kraju; przypuszcza on wolną wymianę i ułatwienia handlowe wszelkiego rodzaju. Możliwe to jest wtedy, gdy między państwami panuje harmonia, między ludami zaś braterstwo. Niestety! Zamiast tego pięknego marzenia ekonomistów, świat dzisiejszy ukazuje nam narody uzbrojone od stóp do głów, zazdrosne, wrogo względem siebie usposobione.

Były to istotnie ekonomiczne mrzonki, oparte na fałszywych wyobrażeniach o owej harmonii. Ekonomistom się zdawało, że dość jest porwać wewnątrz wszystkie węzły korporacyjne, dość uczynić robotnika i przedsiębiorcę „wolnym,“ ażeby doskonała zgoda zapanowała w świecie. Ide-

alny ten podział pracy i wymiany, na wolnej konkurencyi oparty, miał wprowadzić ową zgodę w stosunki międzynarodowe. I tu jednak, podobnie jak w stosunkach wewnętrznych, był fałszem. Kraje lepiej do walki o byt przygotowane, jak Anglia lub Belgia, mogły tylko wyzyskiwać swe uprzywilejowane stanowisko na niekorzyść krajów mniej posuniętych w kulturze. Nic dziwnego, że ideał ten mało znalazł zwolenników, szczególniej między tymi, którzy służyć mieli za podścielisko wielkiemu rydwanowi kultury i że Belgia bankrutuje, a raczej przedsiębiorcy jej zostali zawiedzeni w bujnych swych samolubnych nadziejach.

Słuchajmy jednak dalej utyskiwań i wywodów Laveleye'a. Belgia — mówi on — kraj wolności i pracy (?!), neutralny i spokojny, otworzył szeroko swe granice, licząc na wzajemność — wzajemność wilka i jagnięcia — dodamy. Przełom też dotknął tem silniej kraj ten, który był wielkim warsztatem, pracującym dla zaspokojenia potrzeb świata całego.

Jedną z specyficznych przyczyn przesilenia widzi Laveleye w zwiększeniu produkcyi jednocześnie z niezwykłem zmniejszeniem środków wymiany. Produkcya drogich metali upada. Monetę bić przestano w całej prawie Europie, co powoduje drożyznę etc.

Ostatnią wreszcie—powiada Laveleye— przyczyną zaburzeń, przyczyną ogólną, głębszą i trwałą, jest wzrost socyalizmu. Wniknięcie idej socyalistycznych w społeczeństwa wszystkich krajów cywilizowanych jest, według niego, faktem widocznym. Przenikanie to — zdaniem belgijskiego ekonomisty—najbardziej jest szybkiem i systematycznem, pomimo praw wyjątkowych, w Niemczech. Pierwszem źródłem socyalizmu jest chrześcianizm, on bowiem rozszerzył po świecie zasady równości między ludźmi i braterstwa. Zwrastającą falą socyalizmu walczyć można — według Laveleye'a — tylko socyalizmem. Prócz rewolucyjnego jest jeszcze socyalizm konserwatywny, chrześciański, katolicki, nawet państwowy. W szerzeniu i zastosowaniu idej tych ostatnich kategoryj widzi ekonomista belgijski jedyną tamę, uchronić mogącą społeczeństwa europejskie, od grożącego im przewrotu.

E. P.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Asnyk. **Bracia Lerche**, komedya w trzech aktach.

Choć minęła już epoka, w której surowe przepisy sztuki określały czas, „aż się przedmiot świeży — jak figa ucukruje, jak tytoń uleży“ — to przecież w zakresie utworów o tle społecznem stanowią one po dziś dzień dla świata literackiego niemal zasadę, milczącem uchwaloną porozumieniem. Bo żeby z tłumu zjawisk chwili i bezpośrednich wrażeń codziennych, bijących w oczy i widzianych zbliska wydobyć ogólne myśli przewodnie i ująć je w zrozumiałą, harmonijną całość, na to potrzeba spokoju mędrca i mistrzowskiej pewności ręki, potrzeba z chaosu wywieść proste kształty. Taką pracę za ciężką dla ramion zwyczajnych podjął Adam Asnyk w chwili największego gwałtu zadanego tysiącom rodaków, przemówił słowami prawdy gorzkiej, ani jednego grzechu nie przebaczył swoim, ani jednego pazura wrogowi nie ujął, dał obraz wierny tego, co zaszło i pokazał, dlaczego zajść musiało. Obywatel użyczył poecie sądu, poeta dał obywatelowi wymowy. *Braci Lerche* zwykłym łokciem teatralnym nie godzi się mierzyć. Po za ogólną ludzką wartością typów chowają się tysiące haseł praktycznych, wspomnień, rad i nauk, które wpadają w duszę słuchacza, jak krople kordyału o cudownej władzy. Cechą dzieła jest prostota i zwięzłość: ośm osób, trzy akty — oto całe ramy, z których wyrywa się na świat ogromna epopeja rasowej walki dwóch narodów. Ale za to — co za ludzie — jakie akty! Ludzie z krwi i kości, dziedzice wad i zalet pokoleń, akty, pędzące jak kaskada, spienioną wirem popędów i uczuć. Dwie polskie wioski w Poznańskiem, jak dwie wyspy sterczą śród oceanu niemieckich posiadłości. Jedna jest gniazdem Radwanów, druga Nałęczów. Radwany stanowią całą rodzinę. Dziadek Tadeusz, b. kapitan wojsk polskich, typ ziemianina nieugiętego w walce o narodowość, syn jego Stanisław skłopotany gospodarstwem w trudnych warunkach i córka Malwina, stara panna, wychowująca z macierzyńską miłością sierotę, wesołą trzpiotkę Dziunię, córkę człowieka, który miał się z Malwiną żenić a porzucił dla innej. Wreszcie panna Irena, córka Stanisława a wnuczka Tadeusza, typ poważny, zdolny do pracy i ofiary. W domu Radwanów już od roku bywa Juliusz Nałęcz, sąsiad, szlachetny, młodzieniec poetyczny charakter słaby a gospodarz niedołężny. Kocha się on w obu pannach, nie mogąc zrobić ostatecznego wyboru. Ci ludzie — ten mały odrębny światek szlachty wiejskiej — wiodą życie pełne kłopotów i trosk wśród zapasów z postępem zaboru niemieckiego, któremu prócz poczciwości i dobrych chęci żadnej innej siły nie umieją przeciwstawić. Głowa rodziny, kapitan najwięcej z nich ma energii, ale to człowiek innych czasów, który nie nadaje się już do walki, choć nie zaśniedział w przesądach, skoro mówi, że synowi chłopa, byle był uczciwy, odda rękę wnuczki bez wahania. Dębowiec, długo obronny wobec niemców, zostaje wreszcie wystawiony na groźne niebezpieczeństwo. Pan Stanisław zamotał się w niezręczne sprawy pieniężne, a weksle jego nabył Otto Lerche, właściciel sąsiedniej huty szklanej, oddawna ostrzący łakome zęby na polski majątek. Chcąc uniknąć odwleczenia sprawy przez licytacyę, zgłasza się on do p. Stanisława, dając mu na rękę 50,000 za ustąpienie ze wsi. P. Stanisław odrzuca propozycyę, bojąc się, by wiadomość o utracie dziedzicznej włości nie zabiła mu ojca i ludzi się nadzieją, że przecież skądś spadnie ratunek. Niespodziany zwrot stawia sprawę w świetle odmiennem. Lerche spostrzega, że Stefan, brat jego przyrodni, znacznie młodszy, urodzony z matki polki, pokochał p. Irenę. Całą duszą przylgnął on do domu, który mu przypominał dzieciństwo pod okiem matki spędzone. Otto chwyta tę sposobność, by szlachcicowi polskiemu zabrać i wioskę i córkę. Oświadcza przeto brata o rękę Ireny, nie zważając na jego uwagi nad tak spiesznym targiem. Irena przystaje na związek, bo Stefan nie jest jej wcale obojętnym, choć boli ją to, że tak po kupiecku o jej rękę się domaga, widząc ją zaledwie drugi raz i nie uprzedziwszy jej ni słowem. Zresztą myśl, że uratuje gniazdo rodzinne rozbraja resztę jej niepewności. Ale ciotka Malwina, dowiedziawszy się o układzie, oburzona, że Irena poświęca się, idąc za człowieka — jak mniema — nienawistnego jej sercu, zdradza tajemnicę przed dziadkiem, który wchodzi do salonu w chwili, kiedy Otton Lerche, z kupiecką przechwałką wręcza Irenie klejnoty przedślubne w imieniu brata. Straszne słowa wyrzutów padają przeciw wnuczce z ust tego Nestora: „Czy pomyślałaś, że ty, dziedziczka rodu Radwanów, wnuczka żołnierza, który przelewał krew za ojczyznę— możesz wydać dzieci, które nie będą umieć po polsku i doczekać się wnuków, którzy staną w szeregach prześladowców twojej narodowości.“ Wzruszona Irena pada dziadkowi w objęcia i zwraca słowo dane Stefanowi, mówiąc, że interes po kupiecku przezeń traktowany rozchwiał się, więc nic sobie do wyrzucenia nie mają. Stefan z boleścią w sercu, zgnębiony obelżywem a niezasłużonem obejściem ukochanej, nie ma innej skargi prócz słów: widać godny nie byłem tego szczęścia. Ta pełna godności boleść ujmuje nawet dziadka, który mówi: podoba mi się ten chłopiec. Ale inaczej przyjął wiadomość Otto Lerche. Nie szczędzi on Radwanom prostackich, pogardliwych wyrzutów, obiecując im, że wypędzi ich z torbami, a „kto wówczas zechce córkę bankruta?“ Na te słowa uniesiony szlachetnością Juliusz prosi o rękę Ireny. Ale mimo to — „szczęścia w domu nie było — bo go nie było w ojczyźnie.“ Juliusz nie czuł się szczęśliwym jako narzeczony Ireny, a ona sama ciotce wyznaje, że go nie kocha; Dziunia zaś robi się poważna i smutna, na myśl, że traci Juliusza. I z zewnątrz ciągną gęste, gęste chmury. Juliusz urodzony w Królestwie Polskiem pada ofiarą rozporządzenia i odbiera rozkaz opuszczenia niemieckiego państwa. Zaplątany w nieszczęśliwe operacye pieniężne, jedyny ratunek przed ostateczną nędzą na tułactwie znaleźć może w sprzedaniu młyna, nędznie prowadzonego. Jeszcze chwila, a dwa ostatnie gniazda polskości zostaną rozbite, rozlecą się o kiju żebraczym po świecie. Zgnębionym podaje rękę szlachetny Stefan, w którego umyśle i sercu pod wpływem magicznym polskiego dworu dziwna rozegrała się walka. Z walki tej spowiada się przed Ireną, uprosiwszy sobie chwilę rozmowy przed wyjazdem na zawsze: „Gdy zobaczyłem, jak żelazna ręka zwycięzcy zaciężyła nad nieszczęśliwym a szlachetnym narodem, gdy się przekonałem, że ród niemiecki, ów ród myślicieli i poetów, który niósł niegdyś przed ludzkością pochodnie, upojony teraz szałem wielkości, znieważa poczucie prawa i ludzkości, gniewem i oburzeniem wzruszyło się aż do dna moje ludzkie sumienie. Dwoistość mego pochodzenia tem gwałtowniej na jaw wystąpiła. Krew matki dopominała się o swe prawa, wołając: Niemcy silne i uciemiężające nie potrzebują ciebie. Twoje miejsce w uciśnionych szeregu.“ Krew matki przemówiła— Stefan kupił młyn Juliusza za cenę taką, że właściciel dawny zarobił na czysto 50,000. Ale na wiadomość o nazwisku nabywcy, duma budzi się w Juliuszu, który nawet pojedynkiem Stefanowi grozi. Ten jednak, nie odmawiając walki, zwycięża spokojnemi słowami: Obaj kochamy pannę Irenę, obaj winniśmy jej zapewnić szczęście i spokój. Ja inaczej nie mam prawa — czyż możesz więc odrzucić mą propozycyę? To wyznanie przekonywa Juliusza i łączy młodych ludzi przyjaźnią. Stefan jest już polakiem — Otto przybywa zapóźno, by go wyrwać ze szlacheckiego dworu. Próżno doń woła: „Pomyśl tylko, czy możesz się wahać w wyborze? Z jednej strony zjednoczone Niemcy, panujące nad Europą, cywilizacya, wielkość, sława, dobrobyt, a z drugiej — co? Upadły naródek, wijący się w prochu pod stopą zwycięzcy, przesądy, ciemnota, nędza. Przy nas jest siła, armia, przymierza mocarstw, słowem świat cały — a z nimi kto?“ Utraciwszy Stefana, jako niemca, woła z niezmierną boleścią: Już nie mam brata i wybiega. Żegnającego te strony Stefana zatrzymuje dziadek z kobietami, bo Juliusz uwiadomił go o wszystkiem i dał kosza Irenie na rzecz przyjaciela, by pójść za skłonnością serca i pojąć Dziunię. Wszyscy szczęśliwi a kapitan porzuca marsa, rad, że „tak dzielnego chłopca odbił wielkiej, niemieckiej ojczyźnie.“

Oto szkielet komedyi Asnyka, ale szkielet ten w utworze ma błyszczące oczy, wspaniałą mimikę twarzy, ruchy i giętkość

żywego ustroju. Są błędy i usterki, które każdy dojrzy. W trzecim zwłaszcza akcie, gdzie sprawa szybko dąży ku końcowi, ludzie schodzą się jakby umówieni, to znów nikną ze sceny, zostawiając swobodne pole drugim do wynurzenia przed publicznością swych myśli — widownia pusta czeka nieraz na kogoś. Dziuni ułatwia autor bardzo widocznie sposobność do podsłuchania mówiących o pojedynku panów, ale są to rzeczy, o które na Asnyka nie można się gniewać. Lada partacz igłą i nicią poceruje, a pokostem zatrze takie drobne szramy na pysznem płótnie. Są to wyniki pośpiechu w rozwijaniu akcyi — a czegoś wprost przeciwnego raczej nakazywał domyślać się liryczny talent twórczości Asnyka z poprzednich, nie zbyt życiem kipiących utworów scenicznych. Tu zaś życia niemal za dużo. A ludzie jacy? Tacy jak w rzeczywistości. Nikt więcej nad zwyczajną miarę nie robi: Irena godzi się na ofiarę Ifigenii nie bez skrytej skłonności do miłego Toasa, Juliusz swobodnie wyrzeka się nie kochanej panny, Stanisław oddaje córkę, ale za cenę wielką — za uratowanie bytu — Stefan jest istotnie bardzo szlachetny, ale dobrze na tem wychodzi i nie robi zresztą ofiary nad siły. Sam tylko Otto Lerche unosi się nad zwykłą miarę, on tylko dla zasady swego wielkiego państwa krwi i bagnetów poświęca jedyne lepsze, prawdziwe uczucie — miłość braterską. Ten brutalny, ordynarny prusak, noszący ręce w kieszeniach, szydzący bez litości z sentymentów i frazesów (jak mówi) polskich, jest uosobieniem istotnej siły — siły nieubłaganej dla słabych a nieocenionej dla pogromcy, który takie ponure i szorstkie potęgi umie ujarzmić i zaprządz do żelaznego wozu. Jakże ten Lerche przerażająco spokojny i pewny swej przewagi wobec rozpoetyzowanych Juliuszów i nieokreślonych Stanisławów! Czuć w nim drapieżną rasę, chciwą łupu, ale karną—walącą prosto do celu po gruzach i trupach. Nie śmiech ogarnia widza, gdy Lerche żartuje i szydzi, gdy niezgrabnie obraca się w salonie, którego ceną w wekslach ma wypchane kieszenie, ale dreszcz kości przenika. Nawet te talary, które Juliusz wziął za młyn — i te które Stefan włoży jeszcze w Dębowiec, uciułał twardy teuton, Otto Lerche pracą, bezwzględnością i sprytem. Asnyk nie pochlebił ani jednym, ani drugim, nie ujął też nikomu a jednak ludziom zdaje się, że to satyra. *Difficile est non scribere satyram.* Tylko kobiety polskie pięknie i dzielnie się trzymają. Irena i ciotka więcej warte od mężczyzn, one mają odwagę nie podać ręki Ottonowi, one bronią się całą siłą moralną, a pamięć matki Stefana jak dobry duch unosi się nad biednym dębowieckim dworem. Asnyk i tu trzymał się prawdy, którą Bismark sam w ostrych wypowiedział słowach. Niczego nie stworzył sztucznie, żadnej tendencyi utworom nie nadał, bo czyż nawrócenie Stefana dowodzi czegoś więcej, jak przypadkowej zgoła okoliczności — czy ma wagę ogólnej zasady? Nie! Zrobiono też poecie zarzut, że niepochlebnie rodaków przedstawił. Błahy to zarzut i płytki. Kto chce ranę wypalić, przykłada do niej drut czerwony. Nie on winien, że swąd przykry rozchodzi się w koło — to rana się pali, lekarz zaś dobrze się sprawił. Kto chce dziełem sztuki budzić sumienie narodu, musi być nieczuły na wonie próżności narodowej—musi głęboko sięgnąć. Łudzić pozorami w takich jeszcze razach, to już nie dobroć, ale grzech. Bracia Lerche są społecznym rachunkiem sumienia znacznej części narodu.

W. P.

CHOROBY W LITERATURZE.

S. Ribbing, profesor medycyny, wydał w Szwecyi dziełko pod tytyłem: „O literaturze współczesnej i jej zamiłowaniu do opisów słabości“ (*Sund*, 1886), które potrącając o ważny przedmiot, zasługuje na bliższe rozpatrzenie.

Nie ma człowieka, któregoby sieć życia tu i owdzie, na krótki czas przynajmniej, nie poszarpały choroby, dopóki śmierć wszystkich nici nie przetnie; cóż więc dziwnego, że i w powieści, w tem zwierciedle życia ludzkiego, zajmuje choroba poczesne miejsce.

Wzrośliśmy w literaturze, będącej dalszym ciągiem romantyzmu, rozwiązującej najróżnorodniejsze zagadnienia psychiczne i społeczne jednym i tym samym sposobem. Oto zastawia jakiś skrytobójca sidła na bohatera powieści, stawia sądowi przysięgłych fałszywych świadków, lecz — o dziwo!— akurat przed samym wyrokiem dostaje apopleksyi, czem fałszywi świadkowie do głębi wzruszeni, wyznają całą prawdę i cnota bohatera tryumfuje. Albo ta piękna, wzniosła postać bohaterki, ideał doskonałości niewieściej, otrzymawszy list od swego niewiernego narzeczonego, pada ofiarą zdrady i z pękniętem sercem schodzi przed czasem z tego świata nagle, w całej dziewiczej świeżości. W istocie jednak umiera człowiek rzadko na pęknięcie serca (czy nawet umiera?), a jeżeli zachodzi ten wypadek, to „ofiara“ z pewnością nie jest piękną, ani romantyczną istotą, ale będzie wychudłą i wybladłą suchotnicą jak np. Marya Beaumarché w *Clavigu*, która pod koniec przynajmniej zbrzydła, pluje krwią i umiera na galopujące suchoty.

Z postępem czasu schodzi poezya z wyżyn ideałów do życia rzeczywistego. Nauki przyrodnicze i medycyna stają się dla ogółu przystępniejszemi. Praktyczny lekarz nie obraca się już w Olimpie cudacznych aparatów, nie kroczy po obłokach ciemnych nazw, lecz zstępując do śmiertelników, wyjaśnia im to, co potrzebują wiedzieć. Atoli wyniki niezawsze bywają pocieszające, najczęściej udaremnia wysiłki niedokładna znajomość rzeczy. Weźmy np. pod uwagę tak często używany motyw opilstwa. W dawniejszych powieściach takiego Marryata a nawet Dickensa, przedstawia się cały proces tej choroby bardzo idealnie. Ostatecznie wychodzi na to, że ciało ludzkie, przesiąknięte alkoholem, zapala się i gore bez płomieni... A nie jest to jakiemś widziadłem fantastycznem, ale wszystko rzeczywistością, braną sero.

W przedmowie do *Bleak-House* powołuje się wyraźnie autor na francuskiego chirurga. A przecież, gdyby jakiś lekarz podał za przyczynę śmierci spalenie się w wewnętrznym ogniu, to ręczę, że straciłby cały swój kredyt moralny. Dzisiejsi powieściopisarze zbliżają się więcej do prawdy i natury. Jeżeli znakomity humorysta amerykański Bret-Harte pokazuje nam w kałużach kopalń kalifornijskich ofiary, a raczej skutki powolnego zniszczenia przez alkohol, to przeprowadza słabość tę przez cały proces dyagnozy i patologii. Przypomnijcie sobie tę podupadłego pijaka z historyi Mrs. Skaggs, jak nieszczęśliwy stara się zlewaniem zimną wodą usunąć zawrót, jak wkłada dużą, rozczochraną głowę pod pompę, jak oczy mu osłupiały, jak potem kroczy, drżąc cały nerwowo, jak dostaje napadów halucynacyi. Wszystko to opisane z całą wiernością obserwacyi lekarskiej.

Przechodząc od dzikich kalifornijczyków do ogniska hyperkultury, do Paryża, widzimy skutki tej niszczęsnej choroby na całej rodzinie. w romansach Emila Zoli. W *L'Assomoir* zabija „delirium tremens“ bohatera powieści. Opis pijaństwa wierny, chociaż trochę za długi i jednostajny, kończy się dobrze zaobserwowanem przejściem ze stadyum szaleństwa do napadów omdlenia, poprzedzających zazwyczaj katastrofę. Czuć tu formalnie kwas szpitalny, który Zola dotąd otrząsa z nóg swoich. W *Nanie* dochodzi do ostatecznych granic obserwacyi opilstwa, odtwarzając nam nawet trupa w najdrobniejszych i najwstrętniejszych rysach, tak, że żaden protokół obdukcyjny nie może być dokładniejszym, a stan zawiedzionej i opuszczonej położnicy, rodzącej dziecię na poddaszu (z powieści *Pot-Bouille*), odmalowany z taką dokładnością, jakby autor miał doniesienia od akuszerki.

W ogólności posiada Zola zaostrzony zmysł na wszystko, co przekracza normalne granice fizycznego i psychologicznego stanu, maluje więc z niezwykłą znajomością różnego rodzaju choroby, ale nadaremnie szuka u niego lekarz szwedzki przyczyn, a cóż dopiero lekarstwa na te słabości.

W literaturze szwedzkiej podejmuje takie tematy pani Edgren. Jej pijaczka należy do lepszego towarzystwa, co tłomaczy autorka dziedziczeniem (ojciec jej był pijakiem najgorszego kalibru), oraz wpływem męża lekarza, także brutalnego opoja, który pozbawia żonę uczucia wiary, zaszczepiając w niej pierwiastki najgrubszego materyalizmu. Charakter tego pijaka sprzeciwia się o tyle prawdopodobieństwu, że mimo nałogu, cieszy się on szeroką sławą lekarską i klientelą. W *Wielkim mężu* bierze pani Edgren pod uwagę najmodniejszą słabość: morfinizm. Dyrektor akademii szwedzkiej, wielki mąż stanu, ale zrujnowany materyalnie i moralnie, chwyta się ostatniego środka — morfiny. Typ dobrze oddany, lecz autorka nie umie się utrzymać na poziomie naukowym w tym, bądź co bądź nowym, temacie. I tak np. dostaje wielki człowiek, podczas mowy rektorskiej, ataku głodu morfinowego, zawożą go więc do domu, gdzie po zapuszczeniu morfiny wraca do dawnego stanu. Widocznie nie były studya autorki głębokie, kiedy mogła przeoczyć umysłowy stan morfinisty, który w rozwiniętem stadyum choroby nie zdoła zdobyć się nawet na tak lichą produkcyę umysłową, jaką bywa zazwyczaj mowa rektorska, w początkach zaś słabości nie omieszkałby zaopatrzyć się w potrzebną ilość trucizny. Idealny ten morfinista umiera, tknięty paraliżem. Wypadek dotychczas nieznany w medycynie, umierającemu zaś wkłada autorka, dla efektu, flaszeczkę z morfiną, którą on kurczowo trzyma w ręku. Tymczasem dotknięci paraliżem upuszczają wszystko z ręki, i jeszcze przez długi czas po wyzdrowieniu nie mogą w niej niczego utrzymać.

W przeciwny wprost błąd popadają powieściopisarze ze szkoły Zoli, używając i nadużywając motywu dziedziczności. Że czyny człowieka są wynikiem natury i temperamentu rodziców, wykazał już Darwin, ale zaznaczył także prawa zmiany, złagodzenia, a nawet zanikania odziedziczonych właściwości; tymczasem w powieściach naturalistycznych w rodzaju *Rodzina Rougon Macquart* wchodzi każda osoba w ślady zbrodni i występków ojca, chociaż wykształcenie, wpływy otoczenia i społeczne jej stanowisko, są zgoła odmienne. Niektórzy kładą na karb dziedzictwa słabości, wypływające zupełnie z innych przyczyn, tam zaś, gdzie one występują, zabijają swoją ofiarę w dzieciństwie, albo znikają na zawsze, ale nie pojawiają się nigdy w stanie chronicznym.

Żyjemy w wieku uczonym, a kierunek ten odbija się na powieściach, w których aż do znudzenia słyszysz „nerwowy śmiech,“ „nerwowy płacz,“ patrzysz ciągle na „nerwowe ruchy“ itp. Wszystkie charaktery są w wysokim stopniu nerwowe; zdarza się nawet, że brak rozsądku i wychowania, ukrywa się pod tym wygodnym pła-

szczykiem. W powieści Daudeta *L'Evangeliste* występuje protestancki fanatyzm wyraźnie jako słabość nerwowa. Żona bankiera, prezydentka licznych instytucyj misyonarskich i towarzystw dla kobiet, truje belladoną dziewczęta wiejskie, korzystając w celach fanatyzmu z ekstazy, jaką ta trucizna wywołuje. O tego rodzaju skutkach otrucia nie chce wiedzieć lekarz szwedzki.

Na innem miejscu opisuje szczegółowo Daudet słabość naskórną całej rodziny wyznania mojżeszowego. Jest to zrazu mały, niebieskawy znaczek na twarzy, który można przez operacyę usunąć, ale wycięty wrzód zjawia się na nowo; czasem występuje jako wysypka na całem ciele, znika na pewien czas, wiosną jednak albo jesienią wraca napowrót. Otóż nauka medycyny, jak wykazuje prof. Ribbing, nie zna zupełnie podobnej przypadłości.

Powieściopisarz szwedzki Björnstjerne Björnson przedstawia w powieści pod tyt.: *Nad siły* kobietę, która w pożyciu małżeńskiem z egzaltowanym kaznodzieją stała się histeryczką. Pomimo bowiem uwielbienia męża walczy z nim ciągle w sprawie wychowania dzieci, gospodarstwa i t. p., a walka ta nadwyręża jej system nerwowy do tego stopnia, że słabość zwala ją z nóg. Po chwilowem wyzdrowieniu wychodzi naprzeciw męża, wracającego z kościoła, gdzie modlił się o jej zdrowie, i pada nieżywa w jego ramiona. Dotąd wszystko prawdziwe. U tak osłabionych, jak żona kaznodziei, istot następuje często katastrofa nagle, ale fizycznie niemożliwą jest śmierć zdrowego, jak ryba, kaznodziei, który chyba dla melodramatycznego efektu „wyzionął ducha“ przy swej ukochanej. A nie jest to powieść romantyczna. Autor powołuje się w niej na dwa poważne dzieła medyczne największego nerwopatologa Charcota, któremu Daudet poświęcił swą powieść. Lecz dzieł tych autor nie mógł zrozumieć, jak dowodzi Ribbing, gdyż należą do najtrudniejszych w nauce medycyny i wymagają głębszych studyów specyalnych.

W ogólności malują realiści współcześni choroby zbyt szczegółowo, na podstawie mniej lub więcej dokładnej znajomości patologii, łącząc je zazwyczaj z upadkiem moralnym. Wszakże zatrzymują się tutaj, jak w wielu innych razach, na połowie drogi, przynajmniej nie wyciągają wniosków ostatecznych. Ktoby wątpił o tem, niech porówna sprawozdania lekarskie, albo nawet protokoły policyi z najskrajniejszą naturalistyczną nowelą, a spostrzeże od razu w oczy bijącą różnicę. Chodzi więc o przekroczenie konwencyonalnej granicy, nieistniejącej, jak widać z rozprawy Ribbinga, w duńskich i szwedzkich powieściach młodych medyków. Różnica między wykonawcami sztuki lekarskiej a przedstawicielami poezyi współczesnej polega na tem, że lekarze odróżniają patologię od terapii i higieny, na której spoczywa dziś cały ciężar medycyny, fantazya zaś powieściopisarzy przebywa najchętniej w szpitalach; zapominają oni wszakże o głównem zadaniu nauki zdrowia, o wpuszczeniu *świeżego powietrza* do zgnilej i miazmatami zanieczyszczonej atmosfery.

Z.

Z FRANCYI.

Paryż, 20 maja.

(Stowarzyszenie studentów paryskich i przemówienie Renana).

„Ogólne stowarzyszenie studenckie fakultetów i szkół wyższych Paryża“ istnieje od lat dwu dopiero. Swoboda stowarzyszania się jest wciąż we Francyi nader ograniczoną — do dziś obowiązuje przestarzała ustawa z r. 1867, która nie może doczekać się radykalnej rewizyi—to też długo studenci paryzcy nie posiadali żadnego koleżeńskiego związku. Sami nie nawykli byli do tego, a i władza z nieufnością patrzała na wszelkie w tym kierunku próby. Przemagały jeszcze tradycyjne obawy biurokratyczne z czasów cesarstwa, kiedy bujnie krzewiły się idee republikańskie. Czasy się jednak zmieniły i obawy wszelkie są już obecnie płonne. Dzisiejsza uniwersytecka młodzież francuska, rekrutująca się prawie wyłącznie pośród klas zamożniejszych, nie czuje bynajmniej skłonności do radykalizmu społecznego lub politycznego. Chętniejszym już posłuchem cieszą się idee reakcyjne, tonem jednak przeważającym jest zupełna obojętność względem wszystkiego, co nie dotyczy wprost obranej specyalności, karyery, lub wesołego używania. Mimo to, gdy zawiązywało się rzeczone stowarzyszenie, umiarkowane dzienniki republikańskie nie omieszkały wyrażać swego niepokoju o przyszłość. Dziś z zadowoleniem wyznają, że myliły się. Gdy jednak układano ustawę związku, nie zapomniano wstawić w nią paragrafu, którym wszelkie rozprawy religijne lub polityczne wykluczone zostały z obrad — szczególna istotnie metoda zobojętniania młodzieży dla spraw najżywiej obchodzących każdego wykształconego człowieka!

Po dwu latach istnienia towarzystwo liczy około 500 członków, co na kilkanaście tysięcy studentów szkół wyższych Paryża jest cyfrą nader skromną. Cudzoziemcy mogą należeć do związku, nie mogą wszakże być wybierani do wydziału; studentki przyjmowane są również — dotąd jednak zapisały się tylko dwie: jedna polka, druga rosyanka. Honorowym prezesem jest prof. Chevreuil, stuletni „dziekan studentów francuskich.“ Rzeczywistym prezydentem zaś dyrektor „Collège de France,“ znany Ernest Renan. Dodać należy, że stowarzyszenie posiada własny lokal, czytelnię, bibliotekę i stara się o różne ułatwienia dla swych członków przy pracy szkolnej.

Przed kilkunastu dniami święciło ono dwuletni swój jubileusz ucztą, na której Renan wypowiedział przydłuższą mowę. Przytoczymy bardziej charakterystyczne jej ustępy.

„... Wasza młodość — mówił prezes— rozgrzewa mnie i ożywia. Kiedy okna zamykają się z jednej strony, miło widzieć je otwierające się z drugiej! Mam zwyczaj powtarzać: szczęśliwi młodzi, ponieważ życie mają przed sobą! Z dwu części programu życia szkolnego: pracować wiele i bawić się wiele, znałem, prawdę rzekłszy, tylko pierwszą. Czas, w którym inni się bawią, był dla mnie czasem gorącej pracy wewnętrznej. Byłem może w błędzie; wypłynęło stąd, że na stare lata, zamiast być, według zwyczaju, twardym konserwatystą i moralistą surowym, nie mogłem się obronić pewnej wyrozumiałości, którą purytanie nazwali moralnem rozluźnieniem. Zrobiłbym może lepiej, weseląc się, gdy byłem młody i śpiewając do woli *Gaudeamus igitur* żaków średniowiecznych.

Nie ulega zresztą wątpliwości, że jedna połowa działalności waszego wieku nie wyłącza drugiej. Wesołość i praca są to dwie rzeczy zdrowe, które się nawzajem przywołują. Tak jest, pracujcie, pracujcie nieprzerwanie i, mimo to, bawcie się; nie męczcie się nigdy! Wszelkie natężenie zbyteczne i nadmierny wysiłek wyczerpuje. Niech myśl sama ku wam podbiega w naturalnej swej szacie, w słowie; nie przywołujcie jej i nie wyciągajcie. Oto kilka wskazówek w tym względzie. Wypoczywajcie po jednej pracy drugą; niech przedmiot waszych studyów będzie urozmaicony. Przegródki mózgu zajęte pewną pracą pozostawiają wiele miejsc próżnych, które mogą być zapełnione korzystnie inną. Istnieje piękne wyrzeczenie pewnego starego rabina z pierwszego wieku. Wyrzucano mu, że przepełniał naczynie Prawa, kładąc w nie zbyt wiele przepisów: „Do beczki pełnej orzechów — odparł — zawsze wlać można wiele miar oliwy.“ Jak to dobrze powiedziane! Tak jest, można zdobyć jednocześnie wiele różnych rzeczy pod warunkiem umieszczenia ich w opróżnionych przedziałach. Czas poświęcony pracy nie jest ten tylko, który spędzamy nad książką lub z piórem w ręku. Trzeba umieć zawsze pracować, lub raczej, tak się należy urządzać, ażeby chwile pracy i zabawy nie różniły się między sobą. Gdy rozmawiacie, jeżeli pogawędka nie roznamiętnia was zbytecznie, śledźcie za waszemi myślami. Podobnie podczas przechadzek, przy stole, w czasie wszystkich czynności waszego życia.

Nie kładźcie granic waszej ciekawości; starajcie się wszystko poznać; granice znajdą się same. Tego właśnie wam zazdroszczę. W ludzkości ostatni goście są najbardziej uprzywilejowanymi. O ilu rzeczach wiedzieć będziecie, o których my nie dowiemy się nigdy! Ile zagadnień, za których rozwiązanie zapłaciłbym latami mego życia, będzie dla nas zrozumiałych i dostępnych! Społeczeństwa nowoczesne wyjdą-li z przełomu, w który są uwikłane? Czy sprawy społeczne są drogą bez wyjścia, jak poronione próby XIV i XV wieku, czy też znajdą one praktyczne rozwiązanie? Jakim będzie świat w 1920 lub 1930 roku? A w kierunku czysto naukowym: do jakich dotrzemy pojęć o rasie, zarodku, gatunku, jednostce, życiu, świadomości? Iluż doczekacie się ciekawych odkryć w dziedzinie historyi, jeżeli prace dzisiejsze iść będą dalszą koleją! Za lat pięćdziesiąt literatura babilońska liczyć będzie dziesiątki tomów... Dziś mamy dwa tylko dawne napisy hebrajskie, które świecą nam jak morskie latarnie w tym starożytnym pomroku. Za waszych czasów znać ich już może będą dziesiątki... Jakże wam zazdroszczę, jakże pragnąłbym zmartwychwstać za lat pięćdziesiąt.

Bądźcie zawsze — ciągnął dalej mówca — uczciwymi ludźmi. Bez tego nie podobna skutecznie oddawać się pracy. Zdaje mi się, że nie podobna ani dobrze pracować, ani weselić się ochoczo, nie będąc człowiekiem uczciwym. Pogodny umysł jest oznaką dobrego życia... W życiu tem są sprawy delikatne, o których przyjęto nie mówić. Obdarzacie mnie jednak tylu dowodami zaufania, że powiem wam wszystko, co myślę. Nie profanujcie nigdy miłości; jest to rzecz najbardziej święta na świecie; życie ludzkości, ta najwyższa, jaka jest, rzeczywistość, od niej zależy. Uważajcie za podłość zdradzać kobietę, która otworzyła przed wami na chwilę raj ideału, uważajcie za największą zbrodnię wystawianie się w przyszłości na wyrzuty istoty, której daliście życie i która, z waszej może winy, byłaby oddana złemu. Jesteście uczciwymi ludźmi, uważajcie więc lekkomyślne zachowywanie się w tym wypadku za czyn niegodny. Mam to przekonanie, że moralna i prawna reguła małżeństwa będzie zmienioną. Stare prawo rzymskie i chrześciańskie wyda się pewnego dnia zbyt wyłącznem, zbyt ciasnem. Jest atoli prawda, która pozostanie niezmienną, ta mianowicie, że ze stosunków między płciami wynikają zobowiązania święte i że pierwszym z ludzkich obowiązków jest wzbronić sobie w czynie, brzemiennym najpoważniejszemi następstwami dla przyszłości świata, karygodnego oszołomienia.“

Jako komentarz do tego „świeckiego kazania“ — tak sam Renan nazwał swe przemówienie — wypadałoby rozpisać się obszerniej o życiu studenckiem w dzielni-

cy łacińskiej Paryża, gdzie pędzi młodość tyle Beranger'owskich i Murger'owskich Mimi lub Lizetek, zmienionych, oczywiście, po upływie lat. O życiu studentów paryskich, o ich stosunkach z kobietami — pisano wiele wierszem i prozą, wieść o tem rozchodzi się szeroko, muszę więc kiedyś, przy sposobności, przedmiot ten potrącić— dziś jednak brak mi na to miejsca.

W drugiej połowie swego przemówienia prawił Renan o ojczyznie, Francyi, rzeczypospolitej; uwagi te jednak pełne są bałamutnych wyobrażeń, obok trafnych niekiedy spostrzeżeń. Mówca czci ojczyznę, o sprawach jednak politycznych odzywa się z obojętnością zupełną i eklektyzmem. Sam zresztą powiedział, że „w polityce nie liczcie bardzo na moje rady," liczyć się więc z niemi nie będziemy.

P.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Konkurs na dowcip. — Trzej laureaci. — Dowcip *Ostpr. Zeitung.* — Dwa okrzyki i lament „badów" — Pierwsze łowy. — Prawa stanowione w gniewie. — Imponujący traktat. — Dzieciństwa. — Tradycyjna lekkomyślność.— Cudowne leki na wściekliznę.— Kiedy używane są skuteczne.

Jedno z pism monachijskich wyznaczyło konkurs na.. dowcipy. Przysłowie o ogonie martwego cielęcia do dowcipów niemieckich często zastosować można, tym razem jednak zdawało się, że do turnieju staną rycerze humoru. Tymczasem stanęli cyrkowi śmieszkowie. Pierwszy dobiegł do mety i otrzymał 150 marek następującym konceptem:

„*Na górze Brocken. A.* Czy uważasz za możliwe to, co mi niedawno opowiadał przyjaciel N., że przy czystej pogodzie widział stąd Frankfurt nad Odrą? — *B.* Niepodobieństwo, bo jakże on z takiej odległości mógł rozróżnić, czy to jest Frankfurt nad Odrą, czy nad Menem?

Drugi (100 m.): „*Wpadł.* Ktoś potyka się na ulicy i przez szybę okna wystawowego wpada do kantoru bankierskiego. Bankier: Boże sprawiedliwy! W ten sposób żaden jeszcze u mnie nie wpadł."

Trzeci (100 m.): „*Uwieńczony trud.* Pewna dama, która przez całe życie, lękając się złodziejów i morderców, świeciła pod łóżkiem, odkrywa raz chłopca rzemieślniczego, który się zakradł i woła: Ach, przecie, nakoniec jesteś!"

Wszystkie te koncepty, razem wzięte, niewarte są szeląga i przypominają ogon cielęcia żywego, ale nie należy sądzić, że na niwie humoru w Niemczech lepsze kwiatki nie rosną. Pomijając *Fliegende Blätter*, piękną krynicę wesołości, w ostatnich czasach otworzył się nowy jej zdrój w rozporządzeniach pruskich przeciwko polakom. Wiadomo, że pisma nasze odstraszają ziomków od wód niemieckich groźbą wygnania i brutalnych dokuczań. Różne „bady," które z gęsi polskich skubały co rok dużo pierza, podniosły krzyk przeciwko tym postrachom i w ogłoszeniach oraz listach, pisanych „nadwiślańskiem narzeczem," zaklęły się na wszystkich bogów, że to jest nieprawdą, że goście mogą liczyć na najżyczliwsze przyjęcie. W chwili tych przysięg *Ostpreussische Zeitung*, organ naczelnego prezesa Prus Wschodnich, zamieściła następujące ostrzeżenie: „Polacy, przybywający do wód niemieckich, nie powinni liczyć na ulgi w przepisach, dotyczących wydalania. Rząd z każdym postępować będzie tak, jak to uzna za konieczne w interesie państwa, bez względu, czy gości polacy byliby w Landecku, czy gdzieindziej." Z pewnością zarząd kuracyjnego zakładu w Landecku, który najmocniej bił się w piersi i najszerzej otwierał ku nam ramiona, przeczytawszy to ogłoszenie, zawołał: „A bodajże ci, moja Zeitung, język, jak wiór, usechł." Co do nas, rzec tylko możemy: „Niechaj ci, luba Zeitung, język, jak mrówkojadowi, wyrośnie." Bo jeżeli na kogoś nie podziałał obowiązek (sprężyna dziwnie słaba!) unikania *badów*, to może podziała ten... dowcip. Rzeczywiście, jest to pyszny dowcip, daleko lepszy od nagrodzonych na wzmiankowanym konkursie. Owa dama, która ze świecą szukała długo pod swem łóżkiem złodzieja i nareszcie znalazła go, czy mogła poczuć taką radość, jaką my czujemy, mając słuszniejsze prawo do zawołania: „Ach, da sind Sie ja endlich — ach, przecie nakoniec jesteś." Daremnie bowiem świeciliśmy, zakazu wyraźnego względem polaków, przybyłych na kuracyę, nie znaleźliśmy w gazetach niemieckich. Przecież nakoniec jest. Biedny Landeck, biedne „Zoppot" (nazwa, zamiast Soboty, w Warszawie przestrzegana dla szyku)! Jakże one płakać muszą nad „interesem państwa" i nad tym „dowcipem" — nienagrodzonym, chociaż wymownie charakteryzującym ruchy ogona martwych cieląt!

Wielka, ze 100 milionów pętlic udziergana sieć, która ma w Poznańskiem wyłowić majątki polskie, zagarnęła już dobra Komorowo, szlacheckie gniazdo. Szkoda i tej zdobyczy, ale stosunkowo do rozmachu i przygotowań jest ona niewielką. Olbrzymia maszyna germanizacyjna, której koła i pasy wciąż jeszcze wyrabiają się w sejmie pruskim, nie olśniła dotąd swych twórców i konstruktorów nadzwyczajną skutecznością. Któryś z posłów niemieckich zauważył słusznie, że rząd pruski tworzy prawa w gniewie. Z gniewu poczęły się ustawy germanizacyjne, nic więc dziwnego, że jeszcze nie dotknęły mocniej stopami rzeczywistości, lecz przelatują nad nią, jak złowrogie widma. Stara lira teutońska nie gra wściekłej, ale w takt jej muzyki tańczą rozczochrane, blade, z krwawemi oczami upiory, wyśpiewujące zagładę nieszczęsnej i niewinnej gromadce, którą wszyscy opuścili. Daremnie „ojciec św." upomina krnąbrne owce prasy polskiej, które pożaliły się głośno, że i on nawet je odstąpił. Oprócz małego stadka, wiecznie skaczącego przez kij, chociaż kija nie ma, reszta owczarni jawnie lub skrycie obwinia swego pasterza, który swym najwierniejszym synom dowiódł, że taki on „ojciec," jak i „święty."

Pozostawieni samym sobie w położeniu zająca śród serdecznych przyjaciół, polacy pruscy, może dziś bardziej, niż kiedykolwiek, na własne tylko liczą siły. O ile szanujemy wszelkie poważne w tym kierunku natężenie sił, o tyle do przykrego śmiechu pobudzają nas dziecinne junakierye i zuchowate miny. Wobec tej góry, która pochyliła się nad nami i grozi zmiażdżeniem, boleśnie rozśmieszające wrażenie sprawiają zabawki w odwet z ołowianymi żołnierzami, jakie tu i owdzie występują uroczyście. Oto np. w chwili, gdy nad Poznańskiem zaciągnęła się czarna chmura, p. Rogoziński, wódz „pierwszej polskiej wyprawy do Afryki," ogłasza w *Czasie* swój „traktat preliminaryjny z królem i kacykiem Boty," wymierzony przeciwko niemcom. Trzeba oczy dobrze przetrzeć, ażeby uwierzyć, że one istotnie czytają te słowa: „Jej królewska Mość, królowa zjednoczonego królestwa Wielko-Brytanii i Irlandyi, cesarzowa Indyj etc. etc. *i p S. S. Rogoziński*, oraz król i kacyk Boty czyli Bobii, pragnąc podtrzymać i wzmocnić pokojowe i przyjazne relacye, które *tak długo istniały pomiędzy nimi.*" Hej, kogo to dumą nie przejmuje! Z jednej strony król Boty, a z drugiej królowa angielska i p. S. Rogoziński! Do stu tysięcy — przy takich świetnych „relacyach," co nam może zrobić Bismark!

O, gdyby to był tylko sen!..

Jest to zastanawiającem, jak uparcie naszego charakteru trzyma się dziecinna, poważne sprawy zasłaniająca, próżność. W największej niedoli, w chwilach najstraszniejszych umiemy się zdobywać na mimowolny humor, na takie wyskoki, do których, zdaje się, życie nie dostarcza nam ani odrobiny materyału. Pod koniec XVIII wieku, w epoce pogromu, damy polskie zatnącowywały się; w obłędzie przepychu ubierały sobie pierścionkami palce u nóg. Nie był to szał przelotny, bo ślady jego, chociaż złagodzone, odnajdujemy w sobie dotąd. Nie ma tak wielkiej klęski, któraby na długo okryła nas żałobą, nie ma tak silnego gromu, przeciwko któremu nie zasłanialibyśmy się tarczami z kolorowej bibułki.

Podczas gdy Pasteur wynalazł szczepienia, chroniące od wścieklizny, cały świat podziwia jego odkrycia, a pokąsani z najodleglejszych stron przybywają do niego po ratunek i wracają uzdrowieni, my, zapisawszy i odczytawszy to wszystko, najpoważniej zajmujemy się głoszeniem w gazetach sławy roślin, które mają stanowczo usuwać ową straszną chorobę. Niejaki p. Piotr Michalczewski, powoławszy się na swą starość, która blagi nie dopuszcza, upewnia w dziennikach, że *trutownik pospolity* i *grzybień* są nieomylnymi środkami przeciw wściekliźnie. Rozumie się, natychmiast przypłynęły wieści to o księdzu, to o kowalu, to o pasieczniku, to o gospodarzu, o różnych znachorach, którzy znali takie cudowne zioła, ale „wzięli do grobu tajemnicę." Nikt nie świadczy za nimi z własnego doświadczenia, ale każdy słyszał od osób wiarogodnych. Dziwną jest logika ogółu: gdy Pasteur wychodzi zwycięsko prawie ze wszystkich wypadków, radzą przyjmować jego rezultaty „ostrożnie;" ale gdy ktoś wyskoczy z jakimkolwiek badylem, gazety bez zastrzeżeń powtarzają tę nowinę a masy jej wierzą. Co tam *trutownik* z *grzybieniem* sprawiają — mniejsza, i nie myślę ich odzierać z „cudowności;" pragnąłbym tylko, ażeby każdy pokąsany, naprzód pojechał do Pasteura, a dopiero potem napił się odwaru z tych ziół. Wtedy i wilk będzie syty i owca cała — i pokątni doradcy medyczny zadowoleni i chorzy zdrowi.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Wściekłe psy i tacyż sami niemcy. — Nagły wybuch patryotyzmu polskiego w Łodzi.—Znaczące objawy.— Arystokratyczny Lublin. — O czem milczą kuryery.— Drobna sprawa.— Kolonie żydowskie.

Nie wiem, czy z powodu upałów, czy też wskutek rozgłosu wywołanego kuracyami Pasteura, pisma przepełnione są wiadomościami o psach wściekłych i pokąsanych przez nie ludziach. Dotychczas ofiarność publiczna z trudnością zdobywa się u nas na wysłanie do Paryża ofiar nieszczęśliwych wypadków, nie chciałbym więc słabego prądu jej tamować, owszem radbym zachęcać wszystkich do składania datków na ten cel, ale muszę zrobić tu jedną uwagę, która, sądzę, wobec powyższego oświadczenia fałszywie zrozumianą nie będzie. Słyszeliśmy już o oszustach, udających pokąsanych, ażeby zebrać pieniądze na wyjazd do Paryża — nie o nich mi jednak chodzi, ale o tych, którzy każdego psa złośliwego skłonni są uważać za wściekłego i każdo pokąsanie pragną leczyć metodą pasteurowską. Otóż we wszystkich wątpliwych wypadkach należy tro-

skliwie zbadać, czy pies, który ukąsił był rzeczywiście wściekłym. Poruszam sprawę tę dlatego, że gazety rosyjskie zaznaczają fakt, że pies, który pokąsał i uznany został za wściekłego, nie był wcale wściekłym, jak się później okazało; na szczęście w czas ostrzeżono jadących już do Paryża pacyentów. Skonstatowanie wścieklizny, zwłaszcza w pierwszych dniach choroby, nie jest zbyt łatwem i weterynarz nieraz omylić się może, szczególniej jeśli zwierzę zabite zostało natychmiast i nie podlegało dłuższej obserwacyi.

Bodajby Francya wydała kiedyś nowego Pasteura, któryby zaczął leczyć „wściekłych“ niemców, dotychczasowe bowiem sposoby kuracyi nie mogą osłabić szkodliwości zarazka germańskiej pychy. W Łodzi, jak pisze miejscowy *Dziennik*, kilku rycerskich teutonów bawiło się w lasku miejskim zaczepianiem spokojnie przechadzających się osób. Jakiś robotnik, który nie odziedziczył po nieznanych przodkach właściwej tylko klasom wyższym uległości dla tysiącoletniej kultury europejskiej, czynnie zaprotestował przeciw niemieckiemu zuchwalstwu. Ale nieoględny przedstawiciel niższej rasy został należycie ukarany, jeden bowiem z awanturników uderzył go szpicrutą w oko i oślepił. *Dziennik* nie objaśnia, co się stało z wojowniczymi napastnikami i jaka ich czeka kara za wybicie „polskiego oka.“ Kto wie nawet, czy jakakolwiek kara ich spotka.

A może rycerze ci okażą się rodowitymi polakami, bo dzisiaj właśnie odbywają się w Łodzi takie metamorfozy. Przemysłowcy tamtejsi wystosowali na imię gubernatora piotrkowskiego odpowiedź na zarzuty p. Szarapowa i domagania się fabrykantów moskiewskich zaprowadzenia granicy celnej. Nie poruszam w zasadzie tej sprawy, o której *Prawda* wypowiedziała już swoje zdanie, pragnę tylko zapoznać czytelników z nową gałęzią przemysłu łódzkiego—z fabrykacyą polaków. Obie strony używają w sporze argumentów, obliczonych na łatwowierność ludzką. Kiedy przemysłowcy moskiewscy wskazują, jako na objaw podboju rynków rosyjskich — na sprowadzenie „setek tysięcy pudów polskiego żelaza,“ co właściwie mówiąc jest bagatelą, (bo taka np. jest waga jednego mostu kolejowego), współzawodnicy ich z Łodzi starają się dowieść, że przemysł tameczny jest miejscowym i z tryumfem podają cyfry robotników obcych poddanych, które stanowią rzeczywiście nieznaczny procent. Inni zaś niemcy, ani słowa nie umiejący po polsku lub rosyjsku, figurują jako żywioł miejscowy. Niechaj sobie siedzą, byle spokojnie i skromnie, nic przeciwko temu nie mamy, ale po co pasować ich na krajowców i dawać przeciwnikom możność łatwego tryumfu wykazaniem kłamliwości tej przeróbki?

Wogóle patryotyzm polski budzi się w Łodzi. Nawet zajadła *Lodzer Zeitung* z przyjemnością donosi, że przemysł krajowy rozwija się i doskonali we wszystkich kierunkach. Właśnie teraz dwaj „ziomkowie nasi p. Göppert i Grethler założyli fabrykę kapeluszy, „które dotąd nie były wyrabiane w kraju.“ Tak przynajmniej zapewnia *Lodzer Zeitung* i zachęca polaków do popierania swojskiego przemysłu. Tymczasem *Dziennik łódzki* dowodzi, że w samej Warszawie istnieją trzy większe fabryki kapeluszów z tych jedna od 1865 r. No, jak tam jest, to jest, ale zawsze troskliwość *Lodzer Zeitung* o rozwój rodzimego. polskiego przemysłu zasługuje na uznanie.

Są inne jeszcze dowody, świadczące, że Łódź polonizuje się nie na żarty. W mieście tem powstaje tattersal a w roku przyszłym urządzone być mają wyścigi; nowa „szlachta perkalikowa“ wstępuje więc w ślady starej szlachty rolnej.

Mieszkańcy Pabianic znowu, chociaż nie pochodzą z rasy „pląsających niewolników,“ przejęli jej obyczaje i chętnie tańczą nawet w maju, byle tylko był pretekst. O ten ostatni przy odrobinie dobrych chęci nie trudno: niejaki p. Lauber urządził próbę z proszkiem do gaszenia ognia, z tego powodu wyprawiono świetną uroczystość tańcującą.

Pojmuję zresztą wesoły nastrój mieszkańców Pabianic, jeżeli rzeczywiście proszek gaszący okazał się skutecznym. Naokół bowiem płoną miasteczka i wsie, mieszkańcy „z dziwnym spokojem,“ co prawda zrozumiałym przy braku wszelkich narzędzi ratunkowych, przypatrują się pożarowi; straże ochotnicze nie istnieją, inna zaś straż odpowiada, jak np. w Klimontowie, „że ogień do niej nie należy.“ W takim stanie rzeczy można uwierzyć w skuteczność proszku i nawet zatańczyć z radości, że znalazł się dowcipny niemiec, który proszek ów wyrabia.

Lublin coraz bardziej przeistacza się na wielkie miasto. Ma on nietylko własny teatr, ale nawet i proces z dzierżawcą sceny, ma sprytnych izraelitów, którzy handlują młodemi dziewczętami i wywożą je do Turcyi, wreszcie gazetę miejscową, która usilnie stara się o zaszczepienie cywilizacyi w mieście i okolicy. Nie wszystkie jednak wnioski jej zasługują na uwzględnienie...

Dla ludzi dobrze urodzonych istnieją u nas tysiączne przywileje — nawet w prasie. *Kuryery*, które chętnie drukują sprawozdania z procesów skandalicznych, które włóczą po szpaltach swych nieraz nazwiska ludzi niewinnych a raczej winnych tego, że nie urodzili się w stanie... łaski społecznej, milczą teraz o strasznej zbrodni, o której niedawno wydał wyrok sąd okręgowy suwalski. Młody obywatel ziemski Floryanowicz zakochał się przed kilkoma laty w prostej dziewczynie wiejskiej. Dziewczyna była cnotliwą i wszelkie zabiegi uwodziciela okazały się bezskutecznymi. Wtedy Floryanowicz wyrabia sobie indult, cichaczem bierze ślub, ale żonie swej i jej rodzinie każe utrzymywać fakt ten w tajemnicy, niby to z obawy przed swymi krewnymi. Po kilkoletniem pożyciu, którego rezultatem było troje dzieci, paniczowi sprzykrzyła się żona, zresztą zachwiane interesy majątkowe wymagały spiesznego ratunku przez ożenienie z posażną panną. Floryanowicz wyprawia więc żonę z dziećmi do jej krewnych, z początku odwiedza ją niekiedy, później zaniedbuje zupełnie. Przez ten czas wynajduje odpowiednią pannę z posagiem i przygotowuje się do zawarcia z nią małżeństwa. Trzeba jednak usunąć pierwszą żonę. W tym celu umawia się ze swym przyjacielem, również b. obywatelem ziemskim Zakrzewskim i ten ostatni podstępnie namówiwszy biedną kobietę do wyjazdu, niby to na wezwanie męża, zabija ją wystrzałem z rewolweru. Sprawcy morderstwa prędko zostali wykryci i pomimo wypierania się, przekonani o zbrodni, sąd skazał ich obu na zesłanie do ciężkich robót. O tej potwornej zbrodni pisma milczą, natomiast piętnują „nikczemników“ (wyraźnie nikczemników), „którzy niewahali się wyciąć na opał“ drzew formujących „piękną aleję,“ chociaż drzewa te nie stanowiły wcale prywatnej własności. Rozumie się, że „nikczemnicy“ ci, to ludzie „podłej kondycyi“— chłopi z okolic Warszawy. Zabójstwo biednej wieśniaczki nie wywoła takiego szlachetnego oburzenia, nic zwróci nawet uwagi moralistów, chociaż zasługuje na nią bodajby z tego względu, że dotychczas ofiary gorącej krwi paniczów mściły się na swoich uwodzicielach w ten sposób, że pozbawiały siebie życia, teraz zaś nie chcą usuwać się dobrowolnie i zmuszają szlachetnie urodzonych młodzieńców do popełniania zbrodni. Doprawdy, niewiadomo do jakich granic dojdzie wkrótce zuchwalstwo chłopskie, niedługo może „dziewczyna,“ którą „panicz“ spotkał w „zielonym gaiku,“ „pocałował w usta i czule rączkę ścisnął,“ zechce sama mścić się za następstwa tego sielankowego spotkania.

Gazeta radomska, która po krótkim paroksyzmie poetyczno-zachowawczej gorączki, otrzeźwiła się i wyrabia się na bardzo pożyteczne pismo, porusza sprawę drobną z pozoru, ale ważną bardzo w interesie ludu. Organ radomski twierdzi, że rejenci prowincyonalni często bardzo powierzają bez kontroli pisanie aktów swoim pomocnikom, ci zaś ostatni dopuszczają się najrozmaitszych nadużyć. Gazeta przytacza kilka przykładów, jeden z nich, kiedy głuchemu włościaninowi dano do podpisania akt zupełnie innej treści, aniżeli on zadyktował, jest poprostu oszustwem, które surowo winno być skarcone. Niejednokrotnie już i nietylko w gubernii radomskiej zauważono takie lekceważenie przez rejentów swych obowiązków w sprawach, w których interesantami są włościanie, za nadużycia takie pociągano nawet winnych do odpowiedzialności i karano surowo, może więc chociaż wzgląd ten przemówi tam, gdzie poczucie obowiązku widocznie odzywa się zbyt słabo.

Z powodu kolonizacyi żydowskiej w Galicyi podniesiony został projekt urządzenia tego rodzaju osadnictwa u nas, zwłaszcza zaś w kraju zachodnim. Nie mamy nic przeciw osiadaniu żydów na roli (niektórym, co prawda, ochrzczonym semitom uprawa *roli* daje podobno nie zły dochód) ale wytwarzanie kolonizacyi za pomocą specyalnych stowarzyszeń uważamy za szkodliwe, dopóki miejscowa ludność wiejska nie posiada również zorganizowanej pomocy dla nabywania ziemi. Zresztą sposób w jaki „związek izraelski“ tworzy osady rolne w Galicyi, nie ma na celu zachęcenia żydów do zajęcia się gospodarstwem, ale poprostu ułatwienie im osiadania na wsi. Udzielając wsparć i zapomóg łatwo można zwerbować w pośród proletaryatu żydowskiego tysiące rolników, ale ludzie ci ani zamiłowania do gospodarstwa odrazu nie nabędą, ani też poprzednich zajęć nie zrzekną się wcale. Znamy takie kolonie, istniejące już od lat kilkudziesięciu, których mieszkańcy włóczą się po okolicy jako krawcy, handlarze, dzierżawcy sadów i szynków, ziemię zaś oddają w dzierżawę okolicznym włościanom. W małych miasteczkach nie brak chyba ubogiej ludności żydowskiej, nigdy jednak nie najmuje się ona do robót w okolicznych majątkach. Raz jeden tylko widziałem, zdaje się, w Starej Wsi pod Warszawą kilkunastu izraelitów, kopiących kartofle. Objaśniono mnie, że zarządzający tym majątkiem po długich namowach zaledwie skłonił ich do tej pracy.

J. Nieborski.

WSPOMNIENIA POŚMIERTNE.

LEOPOLD RANKE.

Gdy przed kilku laty sędziwy badacz zapowiedział opracowanie historyi powszechnej i szybko wydał parę jej tomów początkowych, przypatrywano się temu olbrzymiemu przedsięwzięciu i tej niewyczerpanej sile ze zdumieniem. Ranke bowiem dowiódł, że życie jego jest pracą nieustającą, że w długoletnich swych studyach zebrał wielkie zapasy wiedzy, ale nikt nie przypuszczał, ażeby w tak późnym wieku starczyło mu energii do wykonania dzieła, o które zaledwie czerstwe umysły pokusić się mogą. Rzeczywiście nie dokonał go, ale to, co zrobił, nadewszystko zaś ta pewność, z jaką spodziewał

się cel osiągnąć, jest rzeczywiście bezprzykładną. Zaledwie dotarł do wieków średnich, a zaręczał przyjaciołom, że „wcale nie dużo mu już pozostało.“ Miał on całe dzieje w głowie, z której potrzebował je tylko na papier przenieść.

Prace jego, poprzedzające to główne dzieło, dotyczyły różnych czasów i narodów, chociaż przeważnie zamykały się w wieku XVI i XVII. Tu należą: *Historya Francyi*, *Historya Anglii*, *Książęta i narody* (wszystko w ramach tego okresu), *Historya Niemiec w epoce reformacyi*. Obok tych monografii stoją obrazy ogólniejsze: *Papieże rzymscy*, *Historya ludów giermańskich i romańskich*, *Historya Prus* i wiele innych.

Ranke był historykiem kroju nieco przestarzałego, mianowicie badaczem stosunków polityczno-dyplomatycznych. Więcej go zajmowali rządzący, niż rządzeni, dwory — niż narody. Cała skorupa życia dziejowego występowała w jego opisach szczegółowo, rdzeń tonął w niej lekko tylko szkicowany. Jego Clio przędła swą opowieść w gabinetach z szychowej kadzieli, nie śród tłumów z prostych motków.

Naturalną też była mniejsza popularność autora w szerszych kręgach czytającej publiczności, niż w szczupłych kółkach dworskich. Pierwsze ceniły go, jako erudytę, drugie — obsypywały zaszczytami. Umarł w godnościach i łaskach całej monarszej rodziny.

Pod koniec życia z osłabionym wzrokiem nie mógł sam ani czytać, ani pisać; trzymał więc całą kancelaryę naukową, w której kilku ludzi zaledwie mogło nadążyć pośpiechowi tego starca. Zamęczał ich pracą, a sam do ostatnich chwil, kiedy już mowę stracił, nie czuł się utrudzonym. Odzyskując w chorobie przytomność, chciał wstawać i dyktować. Takie tytany pracy pojawiają się tylko w Niemczech.

JERZY WAITZ.

Równocześnie z Rankem zwalił się drugi wielki dąb historyografii niemieckiej. Mniej od swego towarzysza pozostawił dzieł, ale więcej sympatycznych wspomnień. Głównymi tytułami jego zasług naukowych, obok udziału w wydawnictwie *Monumenta Germaniae historica*, są prace: *Niemiecka historya konstytucyi*, *Historya Szlezwig-Holsztynu* itd. Zwłaszcza pierwsze z tych dzieł, sięgające tylko do wieku XII, jest pomnikowem i na długo pozostanie podstawą dla przyszłych badaczów. W czasopiśmie historycznem Sybla pomieścił rozprawę o pierwszym podziale Polski, równie gruntowną, jak sprawiedliwą.

Na literaturze jednak nie ograniczają się zasługi Waitza. Jego seminaryum uniwersyteckie w Getyndze było jedną z najznakomitszych i najsłynniejszych tego rodzaju szkół przygotowawczych. Wyszedł stamtąd długi szereg uczonych różnych narodowości, którzy w ojczyźnie odznaczyli swe imiona. Z polaków uczniami Waitza byli: Piliński autor *Dziejów bezkrólewia po śmierci Zyg. Augusta*, Pawiński prof. uniw. warsz., Bobrzyński, Smolka prof. un. jag. i inni. To też gdy w r. 1874 przypadł 25-letni jubileusz istnienia seminaryum Waitza, z różnych i odległych stron przybyli na tę uroczystość wdzięczni uczniowie do swego przewodnika. U nas, gdzie ani takie szkoły naukowe, ani tacy mistrze nie istnieją, niezrozumiałą wydać się może ogółowi zarówno ta zasługa, jak wdzięczność; ale którzy pierwszą poznali, a drugą odczuli, wiedzą, kogo i ile nauka przez śmierć Waitza straciła.

JAN DOBRZAŃSKI.

Zmarł we Lwowie człowiek, którego Lam, nazywając żartobliwie Janem IV, poniekąd określił trafnie. Niewielu publicystów polskich cieszyło się taką, jak Dobrzański, popularnością. Zwłaszcza dla niższych sfer społeczeństwa był on wyrocznią — polityczną. Przygotowawszy się do zawodu literackiego współpracownictwem w kilku pismach, r. 1848 założył dziennik *Radę narodową*, którą później zamienił na *Gazetę narodową*. Tegoż roku, jako rektor wysłany do twierdzy, przebył tam lat dwa. W r. 1854, przy pomocy Dzierzkowskiego, Zacharyasiewicza, Łozińskiego, Ujejskiego rozpoczął wydawać pismo beletrystyczne *Nowiny*, które potem przekształciły się na *Dziennik literacki*. W r. 1862 wskrzesił *Gazetę narodową*, którą niedawno dopiero sprzedał dr. Czerwińskiemu. W organie tym odbijał się namiętny, porywczy, wybuchowy a mało krytyczny temperament redaktora. *Gazeta narodowa* stała się dziennikiem najbardziej wpływowym w Galicyi, a jednocześnie najmniej rozważnym. Wszelki alarm polityczny odbijał się bez przeszkody w jej łamach. Nie z rachuby i chęci bałamucenia opinii, ale z szowinizmu, w gorączce patryotycznej Dobrzański przyjmował wszystko bez kontroli, co pod jego czerwoną w tym kierunku barwę podchodziło. Jego mocne podmalowywania prawdy były przysłowiowe. Błądził jednak w dobrej wierze.

Obok gazety prowadził teatr, który go w ostatnich latach całkowicie pochłonął. Resztę życia spędził w niemocy fizycznej i do śmierci przygotowywał się długo.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Teatr. P. W. Szymanowski, utalentowany komik powrócił na scenę warszawską, wprawdzie jako gość tylko, ale pożądanem jest, żeby pozostał na stałe.

— Trupa poznańska, w której znajduje się kilku utalentowanych artystów, rozpoczęła przedstawienia w teatrze Alhambra.

Teatr rosyjski. Artyści teatrów moskiewskich przedstawili w dalszym ciągu utwory Potiechina: *Występna* i *Ubodzy duchem* oraz sławny dramat Ostrowskiego p. t.: *Burza*. Recenzenci pism codziennych zwracają uwagę, że we wszystkich komedyach występują dotychczas wyłącznie prawie typy ujemne, jest to rzecz bardzo naturalna, gdyż są to utwory satyryczne. Komedye i dramaty rosyjskie nie odznaczają się misterną budową akcyi, są to często szeregi bardzo luźnych obrazów, przedstawiających ze ścisłą prawdą życie realne. *Burza* (Groza) maluje byt rodzinny kupców rosyjskich, „królestwo ciemności“— jak nazwał je Dobrolubow— który z powodu tego dramatu napisał najznakomitsze swe studyum krytyczne. W ponurej atmosferze ciemnoty, barbarzyńskiego zastoju i tyranii rodzinnej rozgrywa się dramat, pozbawiony sztucznych efektów, ale wstrząsający widzów wiernem odzwierciedleniem strasznej rzeczywistości. Wobec realizmu repertoaru trupy rosyjskiej, gra artystów, jakkolwiek są to siły doborowe, nosi niekiedy jeszcze cechy starej szkoły, chociaż nietylko ujemne, ale i dodatnie.

Giełda produktowa otwartą została w Warszawie.

Komisya. Wskutek przedstawień fabrykantów moskiewskich o zaprowadzenie granicy celnej i przedsięwzięcie innych środków, utrudniających współzawodnictwo przemysłowców z Królestwa, wysłaną zostanie specyalna komisya dla zbadania na miejscu warunków, w jakich rozwija się przemysł tutejszy gdyż o jego rozmiarach i działalności rząd posiada obecnie bardzo niedokładne dane.

Zapis. P. S. Krzeczkowski zapisał warszawskiemu Towarzystwu dobroczynności dwa domy, których wartość po potrąceniu długów wynosi około 100,000 rs. Ofiarodawca zastrzegł sobie tylko dożywocie, w sumie 2,000 rs. rocznie.

Wybuchy Etny zwiększyły się znowu, strumienie lawy dosięgają już miasta Catanii, z którego mieszkańcy uciekli.

Konkurs. Rada uniwersytetu warszawskiego ogłasza temat dla ubiegania się o nagrodę imienia Adama Chojnackiego:“ Krótki rys historyczny wyparcia słowian lechickich przez niemców z nad Elby, Odry i Wisły i pobrzeży morza Bałtyckiego, ze szczegółowem wyjaśnieniem przyczyn tego zjawiska.“ Wykład winien być popularny i zupełnie przedmiotowy. Dzieło, napisane lub wydrukowane w języku rosyjskim, ma być nadesłane przed 30 kwietnia 1888 r. Nagroda wynosi 900 rubli. Wydanie nagrodzonego dzieła w języku polskim lub rosyjskim pozostawia się uznaniu autora.

Gimnazyum żeńskie będzie otwarte w Łodzi jednocześnie z męskiem, t. j. z początkiem nowego roku szkolnego, potrzebną na pierwsze urządzenie sumę zebrano ze składek.

Kraszewski stanowczo nie wraca do Magdeburga, kaucya złożona przezeń przepada. Gazety niemieckie przypominają jednak, że więzień dał zapewnienie powrotu i winien go dotrzymać. Uwaga ta byłaby zupełnie słuszną, gdyby nie żądano kaucyi.

Wieża Babel. P. Okręt otrzymał pozwolenie na wydawnictwo „Ceduły giełdy warszawskiej“ w językach: polskim, rosyjskim, francuskim i niemieckim, stosownie do życzenia prenumeratorów. Brakuje jeszcze żargonu.

Z Akademii umiejętności. Na posiedzeniu wydziału filologicznego prof L. Malinowski przedstawił odpis zabytków języka polskiego z rękopisu wieku XV, zachowanego w bibliotece kapitulnej w Pradze. Są to ustępy z przekładu Pisma świętego. Język zabytku, z małym wyjątkiem, wolny jest od wpływów czeskich.

Serwilizm niemiecki. W uniwersytecie würzburskim słucha wykładów ks. Thurn und Taxis. Młody panek nie chodzi na prelekcye, ale wszyscy profesorowie wykładają mu kursy w jego własnem mieszkaniu.

Zmarli. Dr Auspitz, profesor uniwersytetu wiedeńskiego, sławny dermatolog.

— Erazm Wolański, poseł do sejmu lwowskiego i rady państwa w Wiedniu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Wład. Pe. Odpowiedź Pańska wcale rozumowania naszego nie obala. Bo 1) trudno uważać jako ważny zysk platoniczną sympatyę katolików niemieckich, którą oni wykwitowali polaków za tyle usług sejmowych; 2) nie ultramontanizm odebrał polakom ziemię i przywileje, ale stracili oni je w tym związku; 3) pewne objawy ruchu umysłowego i artystycznego w Poznańskiem istnieją, ale jakże one są słabe w porównaniu nawet z Galicyą! Wielkopolska jest pod tym względem z dzielnic polskich najbardziej martwą i bezpłodną. O żołnierskich zaletach poznańczyków w wojnie francusko-pruskiej nie mówiliśmy, zalety takie wogóle nie należą do cech cywilizacyjnych — więc i obrona sz. Pana była niepotrzebną. Zresztą o co chodzi: chyba odpowiedni sędzia w powyższej sprawie, *Dziennik poznański*, również wyraził żal do centrum za Piłatowe umycie rąk przy obradach nad ustawą kościelną.

P. A. Kozl. Jeszcze nie wyszedł.

P. D. Nar. w Łubnach. Dlaczego Pana niektóre z przytoczonych wyrażeń rażą, nie odgadliśmy; inne są rzeczywiście błędami stylu lub druku; zamiast: „według wiarogodnych *zwycięstw* winno być: „*zapewnień*,“ zamiast: „towarzyszył *głosowi* psów,“ winno być: „spieszył za głosem psów,“ zamiast: „*pomimo* drobnych rozmiarów,“ winno być: „prawie“ (nr 19, art. „Orly.“ *Niewinni*, *Piękna*, *O. Makary*— wyczerpane. *O powst. pr. moral.* rs. 1,50, *Dramaty* (jednoaktowe) rs. 1, *O życie* (powiastki) kop. 50, *Kl. Boruta* kop. 40. Inne prace osobno wydane nie były.

P. L. Przyj. w Mł. Przykre to, ale... trzeba znać okoliczności.

J. G. Na bezimienne pytania listownej odpowiedzi *poste restante* nie dajemy.

P. Janowi S. w P. Nie.

P. L. Z. O książce tej mamy już sprawozdanie które czeka miejsca.

P. W. Lut. w Granadzie. Odpowiedzieliśmy do Londynu, że się zgadzamy.

Litaworowi. Nie można zużytkować. Wiersz tłomaczony z tłomaczonego — nie.

P. Fr. Gawrońskiemu. Prosimy o adres, gdyż list nam zwrócono.

Ogłoszenia.

Wielki medal srebrny.

LAKIERY i FARBY

polecają

ZAKŁADY PRZEMYSŁ.-CHEMICZNE

W. KARPIŃSKI & W. LEPPERT

w Warszawie, Elektoralna 37.

Cenniki franco i gratis.

10—24

NIZINY

powieść

Elizy Orzeszkowej

wydanie ozdobne, z **ilustracyami** E. M. Andriollego.

Cena rubel jeden.

Nakład Autorki, do nabycia we wszystkich księgarniach.

W Administracyi **Prawdy** nabyć można:

J. Brandesa

Główne prądy literatury XIX-go wieku.

Tomy: I, II, III po rs. 1 k. 50, tom IV rs. 2, razem rs. 6 (z przesyłką).

Tom V, zawierający Szkołę romantyczną we Francyi, (z wydawnictwa Spółki Nakładowej) rs. 2.

BOLESŁAWA PRUSA

(Aleksandra Głowackiego)

SZKICE i OBRAZKI

tomów 4, z portretem autora

Całość **rs. 5,** każdy tom pojedynczy **rs. I. kop. 50.**

Tom pierwszy zawiera utwory następujące:

Nowy rok. — Żywy telegraf. — Na wakacyach.— Kocha nie kocha? — Katarynka. — W Górach. — Kamizelka. — Cienie. — Pominięty. — Przeklęte szczęście. — Przy księżycu. — Milknące głosy. — Stara bajka. — Pleśń świata.

Tom drugi:

Orestes i Pylades. — On. — Podwójny człowiek. — Na pograniczu. — Echa muzyczne. — Pan Dudkowski i jego folwark. — Grzechy dzieciństwa.

Tom III: powieść p. t.: „Anielka." (Chybiona powieść).

Tom IV: powieść „Dusze w niewoli."

Przesyłający pieniądze **bezpośrednio** do kantoru Spółki kosztów porta pocztowego nie ponoszą.

SPÓŁKA NAKŁADOWA.

Zielna 7-A.

Nakładem Prawdy

wydana została i jest do nabycia książka p. t.:

MĘCZENNICY MYŚLI.

Cena **rs. I.** (wraz z przesyłką pocztową).

L. G. TISSEN, OGRODNIK

w majątku Kalkunen, pod Dynaburgiem, poleca na wiosnę 1886 r.

DRZEWA OWOCOWE

mocne, jako to: jabłonie za sztukę 40 i 50 kop., gruszki, wiśnie, śliwki za sztukę 50 k.

Wszystkie drzewa sadzone były w polu nienawożonem, korzenie mają mocne, co, jak wiadomo, dowodzi, że przyjęcie nie jest wątpliwem.

Katalog wszelkich znajdujących się w zakładzie drzew itd. można otrzymać bezpłatnie.

Zapasy tak obfite, że jestem w stanie zadość uczynić największym zamówieniom nabywców.

3—3

ZAKŁAD FOTOGRAFICZNY

B. MARION

Ulica Senatorska Nr. 32

wprost kościoła b. OO. Reformatów.

Polecam grupy osób z natury i składane.

Kopie z fotografij, obrazów i dzieł sztuki.

Zwykłe zdjęcia fotograficzne osób od naturalnej wielkości do miniaturowych formatów.

Posiadając liczny zastęp pracowników, oraz zapasowe aparaty, przyjmuję zdjęcia na prowincyi, jak: grup zbiorowych, widoków, osób zmarłych itp.

Robota moja wytrzymuje krytykę najsurowszych znawców, wszelkie obstalunki wykończam w ciągu dni pięciu.

Ceny przystępne, dla uczących się i duchownych znacznie zniżone.

3—3 **B. MARION. Senatorska 32.**

Nakładem **Prawdy** wyszło ilustrowane dzieło słynnego badacza angielskiego J. E. Taylora p. t.:

ZMYŚLNOŚĆ I MORALNOŚĆ ROŚLIN

w przekładzie J. K. Potockiego.

Książka ta, która liczy zaledwie parę miesięcy a już zapowiadaną jest w przekładach na kilka języków europejskich, w mistrzowski sposób, w niegwałcących ścisłości naukowej upodobnieniach stosunków roślinnych do ludzkich popularyzuje prawdy i najnowsze odkrycia botaniczne, otwierając najmniej przygotowanym nowy a uroczy świat zjawisk.

Treść: Przebiegłość kwiatów.— Ich dyplomacya.— Gra w chowanego.— Obrona nie zaczepka.— Współdziałalność.— Społeczne i państwowe gospodarstwo roślin. — Ubóstwo i bankructwo. — Rabunek i morderstwo. — Odwrotna strona medalu. — Geograficzne rozpowszechnienie roślin.

Cena (w gustownej oprawie) rs. **2**; dla abonentów naszych, rs. **1** k. **50.**

Zwracający się z żądaniami bezpośrednio do naszej Administracyi kosztów przesyłki pocztowej nie ponoszą.

SPÓŁKA NAKŁADOWA

poleca następujące wydawnictwa swoje:

Chmielowski Piotr dr. Autorki Polskie wieku XIX, studyum literacko-obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541, rs. 2 kop. 50.

Jerzy Brandes: Główne prądy literatury europejskiej XIX w. Tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora str. 402 rs. 2.

Herbert Spencer: Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przełożył Jan Karłowicz rs. 2.

Światełko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono wybitniejszych pisarzów polskich, w ozdobnej oprawie, z drzeworytami w teksc̨ie rs. 1 kop. 80

Stanisław Kramsztyk: O postaci i ciężarze ziemi kop. 50.

Nabywający dzieła powyższe w kantorze **Spółki** (**Zielna 7-A**) kosztów przesyłki nie ponoszą.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na poczętę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Мая 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. **A. Świętochowski**.